

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.  
 $\frac{1}{2}$  " — 40 "  
 $\frac{1}{4}$  " — 20 "  
 $\frac{1}{8}$  " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Boże Narodzenie.

Najpiękniejsze i najmilsze święto małych, niewinnych dzieci, które wśród wężowiska niegodziwości tego świata kroczą ufnie i śmiało, a promieniste gwiazdy oczu zwracają ku ludzkości, jakby pytały, co im da, jak je przyjmie?

„Chrystus się rodzi, na świat przychodzi”... i pyta także ludzi, jak Go przyjmą?

A ludzie w gwarze i tumultcie ciskanych wzajemnie na siebie złorzeczeń, klątw i wyzwisk nie słyszą Go i nie odpowiadają Mu...

„Pokój ludziom dobrej woli”... Czy jednak rozkwitł on w naszych duszach, jak owe jasne płomyki na wiecznie zielonym drzewku, które dla nas symbolizuje radosne drzewo życia, wiecznie żywe, i słodkie lata dzieciństwa, co ulatują tak szybko, jak szczęście, i ciche zadowolenie radosnego ogniska, i to wszystko, co jest w nas najczystsze i najlepsze?

Nie, niema spokoju w duszach naszych, albowiem złe moce, zła Śmierć, co wiecznie zwyciężana przez Życie wiecznie jednak przeciw niemu walczy, czarna noc, rozpraszana lśniąca gwiazdą cudownych narodzin, szatan, wojujący z Bogiem—Człowiekiem, ciemna otchłań wszelakiej niepewności otacza nas wciąż i zatrzuwa krótkie chwile zapomnienia i radości, nęka przecuciem nowych prób.

Z trwogą pytamy: co dalej? Czy sił starczy? Czy nie ulegnie przed potęgą zła wszystko, co ludzkość z mozołem wyhodowała dobrego i pięknego w swych pierwotnych naturach?

O piękno i dobro, o skarby duchowe ludzkości drży człowiek, który ceni to, co wieki trudu, myśli i bohaterstwa zgromadziły w darze dla przyszłych pokoleń.

I trwoga ogarnia na myśl, że oto ludzkość

w oparach krwi i nienawiści zatraciwszy człowieczeństwo i boskość swoją, zatruta pożądaniem przez ducha ciemności i zła, stacza się w opętańczym tańcu w przepaść dzikości, nędzy, moralnej i umysłowej nicości.

Myśl człowieka, wychowanego w atmosferze odwiecznych ideałów etycznych chwieje się w niepewności i trwodze, że te ideały, które przywykł uważać za niewzruszone, bęzsilne są, martwe, przeżyte i padają w proch przed niepojętym okrucieństwem, że ulegamy w walce z szataństwem, wyłonionem z dna instynktów i spotęgowanem szaleńczeniem pragnieniem zagłady wszystkiego, z czego ludzkość dotąd dumna była i czem się szczyciła.

I gdy tak myśl obłąkana ciemnością, ogarniającą nas, szuka punktu oparcia, gdy oczy umęczone łzami wnoszą się błagalnie w przestworza, pytając o los ludzi i ziemi... oto migotliwe, złote sploty ku nam promienie gwiazdy nadziei.

Tej gwiazdy, co pastuszków i królów wiedzie ku źródłu słodkiej pociechy i otuchy... Ku Matce, co u łona trzyma swe Dziecię.

Oto w Jej dłoniach wszechświat, przyszłość i nadzieja.

Oto przeciw mocy szatana, morzu krwi, pokusom śmierci, jadom chciwości i nienawiści, przeciw tej okrutnej potędze, przeciw tej nieubłaganej potworności staje tylko... uśmiech Matki i Jej Dziecię — Syna Bożego... A wtedy... gdy to ujrzą ufne oczy, gdy w to uwierzą niewinne serca, muszą na nowo uczuć siłę i nadzieję. Albowiem wierzyć trzeba, że w każdym z nas urodzona boskość musi prędzej czy później zwyciężyć wszystko, co dziś potęgą zła straszy albo pociąga w otchłań.

Niechże odwieczna Gwiazda boskich Narodzin jasno świeci i nad naszą umęczoną krainą! Niech dzieci Jej ufnie się garną na łono ukochanej wspól-



nej Matki—Ojczyzny, a wiecznie żywe, płodne łono ziemi rodzinnej przestanie być przez nie szarpane! Wszak dość jest słońca, wody, ziemi i ziarna dla wszystkich, gdy je rozdziela miłość matczyna.

Wypatrujemy przeto pilnie na niebie owej gwiazdy przeczystej, co zwiastuje nam dobrą nowinę.

*Wszystkim naszym czytelnikom i współpracownikom zasyłamy tradycyjne życzenia świąteczne i noworoczne.*

## Skutki unifikacji.

Zastój życia gospodarczego kraju, a nawet jego systematyczny od szeregu lat upadek — pobudza do stawiania rozmaitych diagnoz i hipotez, w celu wyjaśnienia powodów tego smutnego zjawiska.

Oprócz powoływania się na tak zwaną złą konjunkturę światową, która niewątpliwie uderza i w nasze życie gospodarcze — słusznie wysuwane są ostatnio, jako przyczyny, czynniki charakteru geograficzno-politycznego. Tak więc wskazuje się na fatalne położenie naszego kraju w państwie polskim, ze względu na otoczenie go ogromną ilością tak zw. martwych granic (Rosja, Litwa), odcięcie od dogodnych arterij komunikacyjnych (Libawa, Kłajpeda), oddalenie od centrów przemysłowych i portów (Gdańsk, Gdynia), i t. p. Bez wątpienia, że układ tych warunków zaciążył w sposób decydujący na rozwoju życia gospodarczego kraju. w każdym razie w większym stopniu niż tak zwana zła konjunktura.

Jednakże poza tem wszystkim, na depresję

życia gospodarczego wywierają fatalny skutek i inne zjawiska, nazwijmy je strukturalno politycznymi, które w splocie warunków też nie małą rolę odegrały w doprowadzeniu do upadku życia gospodarczego u nas. Są to przyczyny, o których najmniej chętnie się mówi, lecz ujawnienie i uświadomienie których może mieć doniosłe znaczenie przy bezstronnem ustaleniu faktycznego stanu rzeczy.

Od dziesięciu z górą lat znajdujemy się w organizmie państwowym, który konstruuje się i rozbudowuje w sposób wybitnie centralistyczny. Ten centralistyczny duch młodego państwa zaciążył w sposób bezwzględny i na życiu naszego kraju. Ziemię naszą zostały wciągnięte siłą rzeczy do scentralizowanego gmachu państwowego. Biurokratyczny formalizm z zapalem dokonywał u nas prac niwelacyjnych, dopasowując wszystko do ogólnopństwowej normy i farby. Wszystko u nas musiało wyglądać tak, jak w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu i t. p. Nawet konie dorożkarskie w Wilnie musiały zmienić swój uniform i zaopatrzyć się w uprzęż u rymarzy krakowskich. Nic więc dziwnego, że w tem pośpiesznym przebarbowywaniu naszego kraju na wzór ustalony przez zawziętych centralistów, w tem bezwzględnie dopasowywaniu naszego życia do normy ogólnopństwowej — niejednokrotnie nie zdołano dopasować nowych form ustrojowych do naszych wybitnych odrębności, chociażby tylko społeczno-gospodarczych — a tembardziej do naszych potrzeb rozwojowych.

W tworzeniu u nas nowych form bytu nikt naturalnie nie troszczył się zbyt o wnikanie w treść naszego życia gospodarczego, obyczajowego, społecznego. Tworzyło się tu województwa, starostwa, gminy, urzędy wszelakie w ten sam zupełnie sposób, jak to czyniono w centralnych lub zachodnich dzielnicach państwa. Nie wnikano w naszą biedę, w nasze warunki swoiste przyrodnicze, topograficzne, i inne. Narzucono nam normy ustrojowe, które nie były dostosowane do naszych zdolności wytwórczych, ani naszych możliwości rozwojowych. Nasze prymi-

PETRAS TARULIS.

## W pociągu wąskotorówki.

*Wolny przekład z litewskiego W. Zaleskiego.*

Późny wieczór.

Po wąskim, ciągnącym się od Birż ku Szawłom torze pełnie pociąg sapiąc i stękając. Parowozik, dymem spowity, mały niczem główka robaka, wlecze za sobą, niby części swego ciała, 5 małych, jakby ze świata zabawek dziecięcych, wagoników. Na równinie — wiatr jesienny i śnieg, którego mokry całun ciężko łągnie do gruntu.

W wagonikach — dym: żelazny piecyk gorzko dymi, a pozatem brody żydowskie, wymiętoszone szynele żołnierskie, czerwone nosy i kilka par beznadziejnie żalonych oczu.

Podróżnym się zdaje, że hałas wąskotorówki nigdy nie ustanie. Wagoniki drżą, jakgdyby ich trzęsła febra jesienna, a łańcuchy, łączące je, zgrzytając tępemi zębami, zdają się jęczeć ustawicznie. Żelazne płuca lokomotywy oddychają nierównomiernie. W wagonikach jest zimno, wilgotno i nieopisanie smutno.

W pewnym momencie parowozik stanął na małej stacyjce, gdzie, stałe będąca w poważnym stanie, żona zawiadowcy znalazła sobie przed budynkiem dworcowym najodpowiedniejsze miejsce do suszenia pieluszek.

Otworzyły się drzwi i weszło do wagonu dwoje: mąż i żona. On ma charakterystyczną twarz niedopieczonego rogalika, o oczach niczem zmarzłe jesienią pszczoły, o ustach, na których wykwiła stałe jeden, dawno zapomniany z jakiego powodu, uśmiech. Ubranie na nim — amerykańskie: szyte na hurtowne zamówienie jakiegoś magazynu, miejscami zbyt wąskie, miejscami zbyt szerokie, bardzo źle pasowało do jego figury. Zegarek — wielkości dłoni. Łańcuch tej grubości, że można konie wiązać. Pierścień — bykowi przez nos przeciągnąć.

Z nim młodzianka kobieta.

To jego żona. Wątpliwości być nie może: ona niesie ogromny pakunek, a on małą torebkę.

Ładna kobieta. Oczy, usta, cera, zręczne ręce, które pracę widziały, lecz się od niej nie zniekształciły, gibka kibić, oraz urocza twarzączka — składają się na wdzięczną całość.

Pakunki i ciała przybyłych zajęły odpowiednie miejsca. Mężczyzna otworzył usta — pokazały się



tywne nieraz warunki gospodarcze zostały wciśnięte w ramy zbyt uciążliwych rygorów, które musiały silnie hamować nasz gospodarczy rozwój. Dano nam kosztowną i zbyt rozbudowaną administrację, która poczęła wykonywać ustawy i rozporządzenia, nieraz zupełnie nie przystosowane do warunków miejscowych; postawiono nas w warunkach podatkowych, przerastających nasze możliwości płatnicze (podatek majątkowy, dochodowy, obrotowy). Rozbudowujące się tu państwo, obciążające życie publiczne znacznymi świadczeniami i obowiązkami, formując to życie na modłę bardziej intensywnej—nie wносиło jednak z sobą na teren kraju życiodajnego środka, który zwie się pieniądzem.

I w rezultacie, obok obiektywnych niepomyślnych warunków geograficzno-politycznych (martwe granice, odcięcie od komunikacji, oddalenie i t. p.) i złej konjunktury—zaistniały tu u nas jeszcze i takie warunki niepomyślne, które wytwarzało stale samo państwo, jako czynnik kierujący życiem gospodarczym.

I choć nieco zapóźno, ale ze sfer gospodarczych zaczęto wyraźnie wskazywać na te czynniki państwowe, które ujemnie wpływały na depresję ekonomiczną u nas. Czują barometr gospodarczy musiał wreszcie ujawnić rozmaite błędy w polityce państwowej. Badania Izby Przemysłowo-Handlowej w Wilnie wykazują już niektóre tego rodzaju fakty. Tak np. w „Postulatach gospodarczych sfer przemysłowych i handlowych woj. wileńskiego i nowogródzkiego”, zakomunikowanych sferom miarodajnym, znajdujemy treściwą analizę miejscowych stosunków gospodarczych.

Analiza ta wykazuje, że w niektórych dziedzinach życia gospodarczego województwa nasze są ogromnie upośledzone w porównaniu do województw innych.

Naprzykład pod względem komunikacyjnym wyraża się to co w cyfrach takich: gdy dla całej Polski, na 100 klm<sup>2</sup> powierzchni, przeciętna długość

sieci kolejowej wyraża się liczbą 4,3 klm., to dla Wileńszczyzny cyfra ta spada do 2,9 klm., a dla Nowogródziny do 2,6 klm. Przytem drogi żelazne nie są bynajmniej dostosowane do potrzeb życia gospodarczego. Znacznie gorzej jeszcze przedstawia się stan naszych dróg bitych: w odniesieniu na 10 tysięcy mieszkańców — ilość ich jest siedmiokrotnie mniejsza od przeciętnej dla całej Polski i 18 to krotnie mniejszą od przeciętnej dla woj. pomorskiego.

Instytut Badania Stanu Gospodarczego Ziemi Wschodnich, badając potrzeby drogowe naszych województw podaje takie dane: żeby Wileńszczyznę i Nowogródziny dorównać pod względem dróg bitych z woj. warszawskim, a pod względem ulepszonych gruntowych z woj. poznańskim — to należało by u nas wybudować 1840 kilom. dróg państwowych, 1800 klm. samorządowych i 3.320 klm. gruntowych — łącznym kosztem 125 milionów złotych.

Niemniej i dziedzina taryfowa przedstawia się dla naszego kraju niepomyślnie. I chociaż ostatnio nastąpiły pewne zmiany na lepsze, to jednak ogólnie biorąc polityka taryfowa państwa nie ma należytego zrozumienia dla potrzeb miejscowych.

Z analizy działalności państwowych instytucji kredytowych okazuje się, że pod względem kredytowym jesteśmy upośledzeni znacznie, w stosunku do innych dzielnic państwa. Ilość weksli, zdyskontowanych w roku 1929 przez Bank Polski wynosiła zaledwie 1,5% ogólnej ilości, a 1,35% ogólnej wartości — weksli zdyskontowanych w całym państwie. Na jedno przedsiębiorstwo handlowe, względnie przemysłowe — wypada u nas kredytu 1.390 zł., wówczas gdy przeciętnie dla całego państwa cyfra ta wynosi 5.500 zł. W 1929 r. Bank Gospodarstwa Krajowego udzielił ogółem kredytów u nas 13 milionów zł., co wobec 808 milj. zł. dla całej Polski stanowi 1,6%. Saldo wkładów we wszystkich bankach w Wilnie na 1-go lipca roku bież. wynosiło 39 milionów zł., co stanowi zaledwie 1/5, w stosunku do czasów przedwojennych.

żółte, na przedzie poczerńiałe zęby, i wreszcie rozległo się:

— Tu, widzisz, druga klasa. Bo, widzisz, nie trzeba pchać się między prostaków. Za to i drożej.

Jego żona zrozumiała sens tych słów. — Oto jakim ja dobry! Oceń to! Zapewne oceniła, ale nie potrafiła odpowiedzieć.

\* \* \*

Biała chatka. Okienka, niczem komórki woskowe, są pełne zielonkawo-białawego miodu — radości.

W chatce mieszka Marysia. Marysia ma modre oczy. Marysina twarzyczka śliczna, a kibić gibka. W chatce mieszkają Marysi rodzice.

Codzienną pracą, codzienną krzątaniem. Zmarszczek na twarzy i w duszy moc. Zgarbione ich plecy: ustawicznie trzeba się nachylać przed dziedzicem, przed proboszczem, przed każdym brzuchem łańcuszkami i brelokami ozdobionym.

Rzadko — na święta chyba, albo dzięki jakiemu przypadkowi — najadano się do syta.

Teraz z Marysi już robotnica. Teraz z Marysi już podpora dla rodziców.

Ot, zda się jeszcze, wczoraj była taka mała. Na rżysku mała Marysieńka ogromnym stadem

gęsi dowodziła. W gęstwinie ukochanego sośniaka echo jej piosenkę w dal niesło.

Na łąkach, między żółtymi, jak kwiatki kaczeńca, gęsiatkami, które tylko co się rozstały ze swą chatką-skorupką, upływały Marysine dni beztrudne.

Rosła Marysia, jej piersi pęczniały, oczęta jakoś inaczej poczynały patrzeć. Z Marysi już teraz robotnica. Z Marysi dla rodziców podpora.

Nieznacznie jakoś wyrosła Marysia na śliczną dziewczynę.

Oto stary tatko krząta się na podwórku. Obok przechodzi śliczna Marysia. Rzuci na nią okiem tatko i znów pracuje.

Ale po chwili zewnątrz wydziera [się] jakiś uśmiech radosny.

Myśli: Coby to być mogło? I przypomina sobie: — Marysia...

I na sercu robi się jeszcze radośniej, jeszcze cieplej.

\* \* \*

Wiejskie dachy słomiane, sztachetowe płoty, rzadkie wrota, wierzby, topole i klony rozłożyste w milczeniu stoją nieruchome, niczem dekoracja na scenie.



Trudno tu przytaczać rozmaite dane, które wykazują, że kraj nasz stanowiąc składową część państwa polskiego — jest w stosunku do innych dzielnic państwa znacznie upośledzony i znajduje się w daleko gorszych warunkach. Tem niemniej okazuje się, że pod względem świadczeń na rzecz państwa i samorządów — jesteśmy nie tylko równouprawnieni, lecz nawet wyróżnieni. Np. podatek obrotowy na głowę płatnika stanowi dla Wileńszczyzny 411 zł., wówczas gdy w białostockiej izbie wynosi 377 zł., w lubelskiej 320 zł., warszawskiej 397. Wogóle, w porównaniu do stanu przedwojennego, obciążenie płatnika podatkami państwowymi jest obecnie *czterokrotnie* większe, a obciążenie komunalne wzrosło jeszcze w silniejszym stopniu.

Naturalnym skutkiem tego stanu rzeczy jest fakt, iż ilość warsztatów pracy gwałtownie się zmniejsza. Tak, w ciągu r. 1929, w woj. wileńskim i nowogrodzkim zmniejszyło się warsztatów pracy o 1.444 zakłady. W odniesieniu do 1926 r. spadek ilości warsztatów dla Wileńszczyzny wyraża się: w r. 1927—15,5 proc., 1928 r.—7,5 proc., a w r. 1929—dochodzi do cyfry 165 proc. Jeszcze gorzej przedstawiają się te cyfry dla woj. nowogrodzkiego też w odniesieniu do r. 1926, tu w r. 1928 spadek wynosi w 62 proc., a w r. 1929—249,8 proc.!

Cyfry te świadczą o zatrważającym kurczeniu się warsztatów produkcyjnych w kraju. Wpłynęła na to być może zła konjunktura, lecz nie mniej zabójczo działa system fiskalny państwa, stosowany bezwzględnie, nie troszcząc się o następstwa.

Tych kilka przykładów otwierają oczy na naszą sytuację gospodarczą. Staczymy się po równi pochylęj. Nie można tego zjawiska tłumaczyć tylko złą konjunkturą—przyczyna złego tkwi w niemniejszym stopniu i w nieopatrznym stosunku polityki państwowej do naszej krajowej produkcji. Być może, że dziś już za późno o tem mówić — tem niemniej warto sobie uzmysłwić, że przeżywamy dziś skutki tego bezdusznego centralizmu, który przez szereg lat ła-

mał i osłabiał żywotne produkcyjne siły kraju — nie wnosząc w zamian żadnych walorów, które mogły by w chwili ciężkiej zapobiec katastrofie.

Wer.

## Litwini w cudzysłowie.

(Głos prawdziwego Litwina).

Kto przeżył w Wilnie okres od roku 1920 do chwili obecnej i kto obserwował rozwój miejscowej opinii publicznej, ten chyba zauważył, że w przeciągu tych dziesięciu lat zaszła wielka ewolucja. Zmiana ta niewątpliwie jest objawem pocieszającym, aczkolwiek trzeba ją traktować z pewną rezerwą. Na czem polega ta zmiana?

Dobrze pamiętamy sławetne czasy Osmołowszczyzny i „Litwy Środkowej”, tej arcykomedji politycznej. W owe czasy, kiedy jeszcze byłem uczniem gimnazjum litewskiego, omal nie codziennie idąc do szkoły lub wracając do domu, byliśmy na ulicy wysmiewani za mowę litewską nawet przez poważnie wyglądających panów i panie, nie mówiąc już o „czyścibutach”. Do nader popularnego, a ze względu na swą intencję drażniącego nas zwrotu „*sake pasake*”, bardziej gorliwi szowiniści dodawali jeszcze po parę wyrazów nie literackich.

Lecz lata biegly i namiętności zwolna się uciśzały. Dzisiaj podobnych wypadków już nie spotykamy. Prawda, ten przykład jest może zbyt drobny, by na nim można opierać ogólne wnioski, ale bądź co bądź świadczy on wymownie o zmianie nastrojów w stosunku do nas Litwinów.

Weźmy inną dziedzinę — chociażby prasę. W Wilnie wychodzą trzy dzienniki polskie: „Kurjer Wil.” — uchodzący za organ demokratyczny, „Sło-

Wiosenna mgła leniwa przepięzła z pół i wilgotną szarością nasyciła powietrze.

Ciepło. Maj.

W przestworzach nocnych, gdzie nikną ściany i wszystko zatracą swe kształty, maleńki świerszczyk drażni ucho szmerem, który ledwie, ledwie daje się ułoić.

Noc nie zważa — spokojna, mgłą ciężarna i ciepła.

Jurek i Marysia. Nikogo więcej. Marysia przejęta jakimś nowym uczuciem, co w całym jej ciele słodkie dreszcze wywołuje, policzki pali i, jakgdyby igrając, to ścisza serduszko to znów oswobadza. Drżącymi paluszkami poprawia nieposłuszne kędziory jasnych włosów, które wciąż się z pod chusteczki wysuwają zasłaniając oczy i płacząc się między nią i rękami Jurka.

Jurek coraz to bardziej upaja swą cudną wońią młodości.

Z pośród wszystkich chłopców, których Marysia widziała, tylko jeden Jurek stał się jej bliskim.

Jurek ma oczy aż do głębin duszy przenikające. Jurek białe, równe zęby z pod płowych wąsików w uśmiechu pokazuje. A głos Jurkowy taki mocny, i niski, i przyjemny! Gdy się go słyszy, to tak się

jakoś dobrze robi, chce się zamknąć powiekami oczy i zdaje się, jakby kto do snu kołysał...

Jurek, taki zawsze dobry i posłuszny, teraz wprawił Marysię w zdumienie. Bo jego gorące dłonie nie zwracają najmniejszej uwagi na jej słabe paluszki, które tak, zda się, mocno walczą. Nie słucha błagań Marysinych. Cała drżąca młodzianka Marysia słabo opiera się gwałtownym pieszczotom Jurkowym.

Coś nowego, chyba tylko we śnie śnionego, pozbawia ją siły. Jej gibkie ciało pali się w twardych, mocnych ramionach Jurkowych. Pot dziewoi jeszcze bardziej go podnieca. On tak się cieszy jej młodem ciałem i tak je pieści, jakgdyby ono było czemś pierwszym raz w życiu widzianem, dziwnem takim, nigdzie jeszcze nie spotykanem.

Żadne słowa nie padły. Zda się, zapomnieli języka. Tylko niejasne, jakgdyby niemające żadnego znaczenia dźwięki tonęły w rozchylonych wargach.

Poranek rozpędził mgłę bajkową. Marysia przystąpiwszy do pracy codziennej, przypomniała sobie chłopca i na wspomnienie jego pieszczot jeszcze raz jej ciało oblał żar.

\* \* \*



wo" — ziemiańsko-konserwatywny i „Dziennik Wileński" — nacjonalistyczno-klerykalny\*). Otóż wszystkie te trzy dzienniki, które wytwarzają opinię — od samego początku swej egzystencji, zajęły wrogie stanowisko w stosunku do Litwy, nie mówiąc już o ich stosunku do kwestji wileńskiej. Dawniej, przed laty bodaj że codzień w każdym ze wspomnianych dzienników można było czytać zastraszające wieści z Litwy, gdzie nie tylko życie Polaków, ale życie wogóle było malowane w barwach tak czarnych, że gorzej było chyba tylko w piekle dantejskim. Ale lata mijały. Życie odrodzonego narodu litewskiego, który utworzył niepodległe państwo, rozwijało się wszechstronnie i dzisiaj po 12-stu latach nikt już nie może wątpić w jego zdolności do bytu samodzielnego. Od samego początku niepodległości Litwy, prasa polska informowała swoich czytelników nie tylko o wprost potwornych stosunkach, rzekomo panujących w Litwie, ale przedewszystkiem, że Litwą w dalszym ciągu rządzą Niemcy, którzy u mieszkańców rekwirują mleko, albo bolszewicy, którzy zamykają kościoły. A przecież takie „wiadomości" dla ludności wileńskiej, której najmniej 80 proc. stanowią polityczni analfabeci — były prawdziwą trucizną, stałe i zreżymie szczepionym jadem nienawiści. Pomijam zagadnienie zasadnicze samej walki, być może była ona nieuniknioną, lecz metody tej walki w pierwszych latach były obrzydliwe, przejmujące uczciwych ludzi wstrętem.

Ale i tu czas swoje robił. O „rządach" Niemców i bolszewików w Litwie mówiono i pisano coraz mniej, coraz rzadziej, aż nareszcie ucichło o nich całkiem. Ukazujące się w prasie polskiej informacje o Litwie Niepodległej stawały się coraz bezstronniejsze. Niestety, przepaści, która została wykopana w ciągu owych smutnych lat, nie zasypimy przez lat kilkadziesiąt, bo te metody walki wywołały głę-

\*) Pomijam brukowy „Expres Wil.", który gdy chodzi o sprawy litewskie, przechodzi i dziś wszelkie granice przyzwyczajenia.

bokie oburzenie we wszystkich obozach myśli politycznej litewskiej, utrwalając w nich przekonanie, że największe niebezpieczeństwo grozi Litwie ze strony Polski. Niemcy i Rosja odwieczni wrogowie Litwy zeszli na drugi plan, o grożącym stamtąd niebezpieczeństwie mówiono i teraz mówi się w Litwie mniej niż o Polsce. Przecież nawet podczas ataku niemieckiego ministra Curtiusa w Genewie na Kłajpedę opinja litewska, chociaż dostatecznie oceniła tę ofensywę, lecz nie zaniechała również czujności w stosunku do Polski. Bo wszakże, jak wspomniałem w artykule „Drzewo niechęci i jego ogrodnicy", nawet teraz prasa polska rządu litewskie w Kłajpedzie określa mianem „okupacji". Być może są to objawy powierzchowne, może nawet gasnące płomyki nienawiści, ale jednakowoż są to fakty, z którymi trudno się nie liczyć.

Prócz wspomnianej zmiany tonu obserwujemy inny objaw pocieszający, który jednakowoż stawiamy pod znakiem zapytania. Chodzi mianowicie o to, że coraz częściej spotykamy się w miejscowej prasie polskiej z enuncjacjami, których autorzy mianują siebie „Litwinami", „autochtonami Litwy", „szlachtą litewską" i t. p. Prawda, ci ludzie, po większej części nie wiele wspólnego mają z Litwą właściwą, całe życie pracowali dla Polski, zwalczali każdy objaw narodowego ruchu litewskiego, nie umieją ani słowa po litewsku i jeszcze niedawno deklamowali o Polsce, jako o swej „macierzy". Teraz zaszła widoczna zmiana w ich psychice, czy może tylko w taktyce? Oto pytanie.

Jako przykład tego rodzaju ewolucji wymienić można gen. Żeligowskiego. Gen. Żeligowski oświadczył niedawno, że nie chciał walczyć z Litwinami, że chętnie nauczyłby się po litewsku i wogóle manifestował swą życzliwość względem Litwy.

Jak należy rozumieć te oświadczenia gen. Żeligowskiego? Gdyby gen. Żeligowski naprawdę czuł się „Litwinem", jak go sanacyjna prasa nazywa, to po „zbuntowaniu" pułków polskich, powinien byłby ka-

### Duża skrzynia.

Skrzynia żółta, żelaznemi sztabami okuta i tak ciężka, że niosącym ją z woza — samemu właścicielowi, który ją aż z Ameryki przywiózł, i jeszcze jednemu mężczyźnie — karki krwią nabrzmiały i na czoło zimny pot wystąpił. Na masywnem cieple skrzyni żółte, mosiężne głowy gwóźdźki zielonkawe, niczem oczy kocie, na świat patrzą. Otoczyli ją wieśniacy, przejęci względem niej ogromnym szacunkiem. Otoczyłaś ciekawa ręką ostrożnie wyciąga się w jej kierunku, delikatnie palcami dotyka jej polakierowanych, dumnie błyszczących boków. Mało brakuje, aby czapek przed nią nie pozdejmowano.

Szeroką, wszędzie mosiężnemi sztabami okutą gębą skrzynia się uśmiecha. Uśmiech pełen szyderstwa i pogardy dla ludzi, którzy ją obstarpi dookoła, oraz dumnej świadomości ze swej wartości.

Skrzyni nudno i czasami, zagrzytawszy kłami zamków, roztwiera swą gębę okutą. Stamtąd powoli wylazi brzytwa z różnemi przyrządami, trykoty — lub też jakaś inna rzecz dziwna.

Skrzynia! Oho! Ona po morzu pływała!

Ona z Ameryki przywieziona!

I (o dziwo!) znalazła się we wsi litewskiej. Trzeba było widzieć z jaką niechęcią rozstawała się wagonem,

tym ostatnim przedstawicielem kultury europejskiej. A gdy jechała na wozie, to z taką wściekłością duży, że nie tylko wiozący ją staruszek w siermiedze z pewnym lękiem na nią spoglądał, ale i Murza, obok biegnący, zerkał na nią z podełba i z półobawą, półgniewem warczał.

A wraz ze skrzynią przyjechał jej właściciel.

— E, dokądże idziesz, dziewczynko?

— Idę... m...

— A — a, dziewczeczko. A jak ci na imię?

— Marysia...

— Marysia? Ładne masz imię, dziewczeczko.

Marysia a.

— ...

— A — a, dziewczeczko. Nie widziałas, dziewczeczko, Ameryki. A ja widziałem. Dwadzieścia lat przemieszkalem.

— ...

— Wszystko widziałem. Przez samą wodę dwa tygodnie jechałem. Aha... A ty, dziewczeczko, nie wybierasz się zamąż?

— Ni-e...



tegorycznie zapowiedzieć: „Halo, panowie z Warszawy! My, Litwini jesteśmy tu gospodarzami”. Niestety „bunt” gen. Żeligowskiego był zainscenizowany i kierowany przez naczelné dowództwo wojsk polskich. A i potem czasy Litwy Środkowej. Zamykanie czasopism litewskich, szkół litewskich, wysłanie „33” działaczy do Kowna. To wszystko działo się podczas rządów Litwina gen. Żeligowskiego. A może Litwinem gen. Żeligowski poczuł się dopiero teraz, po dziesięciu latach. Dlaczego?

Czyżby to był głos sumienia, które się odezwało po niewczasie, czy też to nowy podstęp, nowa jakaś kombinacja dyplomatyczno-polityczna?

Być może, jesteśmy zbyt podejrzliwi i nieufni. Po wszystkich przejściach i doświadczeniach jakieśmy przeżyli, nikt nie powinien się temu dziwić. Łatwiej byłoby nam uwierzyć w nawrócenie się grzeszników, gdybyśmy obok słów i dobrych chęci mogli zanotować i czyny, dowody rzeczowe.

Jeżeli ktoś powiada, że jest Litwinem, niech to poprze czynem, niech stanie na stanowisku Litwy, niech broni jej interesów, a nie ulega ślepo dyktowom Warszawy. Jeśli ci i owi utrzymują, że są autochtonami, że należą do szlachty litewskiej, to niech że wykażą swą samodzielność i odrębność za przykładem swych przodków, którzy walczyli z supremacją szlachty polskiej.

Nie jest tajemnicą, że wszystkie prawie wyższe stanowiska u nas zajmują albo przybysze z rdzennej Polski, nie mający pojęcia o naszym kraju i jego przeszłości lub emigranci z Litwy Niepodległej palający nienawiścią do ruchu narodowego litewskiego. Oni to właśnie przyczynili się najbardziej do zarządzeń retorsyjnych w roku 1927. Tego rodzaju ludzie zajmują u nas stanowiska kierownicze, a nasi autochtoni cieszą się dotąd, że odbyło się „wcielenie bez zastrzeżeń”, czego tak domagali się endecy.

Jesteśmy wyrozumiali. Zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że stać się Litwinem na poczekaniu, gdy dotąd się było zagorzałym wszechpola-

kiem — nie sposób. Nie wymagamy też, aby wszyscy ci, którzy dziś popisują się tak chętnie swym pochodzeniem litewskim, którzy podkreślają swe przywiązanie do Litwy, którzy tytułują się Litwinami (choćby w znaczeniu terytorjalnym, historycznym) przeobrazili się z dnia na dzień w istotnych Litwinów w sensie językowym i narodowym. Ale chcielibyśmy widzieć jakiegokolwiek dowody namacalne, że ta ich „litewskość” nie jest tylko pustym i fałszywym frazesem.

Dwa są zasadnicze warunki, związane z najbardziej pobłażliwym i względnym pojęciem Litwina. Jeden — to zdecydowane poczucie odrębności Litwy w stosunku do Polski, drugi — to zrozumienie i sympatja względem dążeń wyzwoleniczych narodu litewskiego. Ani pod jednym, ani pod drugim względem większość tych Litwinów w cudzysłowie nie wykazuje dotąd żadnej poprawy. Osłabienie agresywności wobec Litwy Niepodległej i pewne akcenty niezadowolonia z Warszawy, że zamało dba o „kresy” — tego jeszcze o wiele niedostatecznie, by mieć prawo do występowania w charakterze Litwina.

Trudno oczywiście zabronić komuś mianować się Litwinem, jeżeli ma taką fantazję. Nasuwa się jednakże naturalne pytanie, w jakim celu to się robi? Czy jest to objaw budzącego się uświadomienia, czy maskarada, mająca na celu takie pomieszanie pojęć, by swój swego nie poznał?

R. Mackiewicz.

## Z mego notatnika.

### Podwójna rola.

Już po mojem wystąpieniu w obronie prof. Michała Birziszki na podstawie relacji o zarzutach p. M. Brensztejna zamieszczonej w „Kurjerze Wil.”

— A — a, dziewczeczko. Czas przecie Taka okrągła...

— Ja chcę odejść..

\* \* \*

— Że też ty, córeczko, rozsądku nie masz ani odrobiny. Do ciebie „merykan” przemawia, a ty uciekasz. Taki pan! Jedna skrzynia ile wartal Cała okuta, błyszczący, świeci, oczy nęci. Szymonów Urszula już dawno się umizga. Byłabyś panią... Ale te dzieci to nie idą prawdziwą drogą i tyle. Panu Bogu na chwałę by było, mówię Ci ..

\* \* \*

W chacie:

— Nudno samemu. To właśnie, żeby mnie tak Marysię...

— Co pan znowu. Pan lepszą znajdzie. Nasza prostaczka. Zrozumienia nie ma.

— Głupstwo. Mnie grunt, żeby dziewczka była.

— Żeby pan nie żałował...

\* \* \*

Świren z okrągłych belek zbudowany. W jednym końcu Marysina izdebka. Przez wąskie szpary między belkami przedzierają się ostre dziury światła

i wbijają się w gęsty mrok. Oto nadszedł dzień, który Marysia chciałaby na wieki odsunąć.

Od chatki, której okienka, niczem komórki woskowe, pełne są zielonkawo-białawego miodu — radości, we wszystkie strony wiodą wąskie ścieżynki Marysine. Z temi ścieżynkami Marysia dzisiaj się żegna.

— A — a — a — — — z piersi, bólem szarpanej, wydziera się jęk. Marysia nie może opanować rąk, które same przez się załamują, strzelają kostkami palców i tak boją, jak gdyby je kto tępemi zębami darł.

— A — a — a — — — Nagle, w całej pełni uświadomiwszy sobie mękę dnia owego, padła na ziemię, niczem kłos owsa kosą zaczepiony, i uderzyła się o ścianę świrna. Jej główka, jakgdyby zmuszona jakąś siłą postronną, uderza o twarde, okrągłe belki. Włosy, niczem wążutkie strumyki krwi zaskrzepłej, lżami zmoczone, rzucają się to w tę, to w ową stronę.

Skrzypią w kratkę wymalowane drzwi.

— Dobrze, córeczko, popłacz sobie, popłacz. Która nie płacze przed ślubem, ta przez całe życie płacze...

\* \* \*



miałem możność zapoznać się z wywodami wspomnianego krytyka w oryginale, dzięki uprzejmości samego autora, który mi łaskawie nadesłał nadbitkę swego artykułu z „Przeglądu Współczesnego”.

Przekonałem się, że poniekąd wylamywałem drzwi otwarte. Okoliczność, mojem zdaniem, łagodząca, na którą wskazywałem, mianowicie, że inkryminowane przekłady z Mickiewicza zostały zamieszczone w podręczniku szkolnym, (o czym nie wspominał całkiem p. Adolph), przez p. Brensztejn została uwzględniona i nawet z naciskiem podkreślona, tylko że p. Brensztejn wyciągnął z tego faktu wniosek wręcz sprzeczny z moimi. Dla p. Brensztejna jest to okoliczność nie łagodząca, lecz przeciwnie obciążająca.

Rozumowanie krytyka nie trafia mi zupełnie do przekonania. P. Brensztejn pisze: „Lecz jakże tu w czasach dzisiejszego rozszalałego szowinizmu i urzędowej propagandy antypolskiej dać w ręce młodego pokolenia Mickiewicza prawdziwego, rzeczywistego, polskim patriotyzmem i myślą o Polsce do rdzenia duszy przejętego? Profesorowi i rektorowi uniwersytetu kowieńskiego zabrakło odwagi do stawienia P i a w d y przed oczy litewskiej młodzieży. Przeraził się obawą skutków, jakie mógłby mieć niesfałszowany głos poety — genjusza, dochodzący do jej uszu. Strach pomyśleć: możeby tu czy ówdzie zdołał nawet poderwać dzieło nienawiści! Dano więc jej do rąk utwory odpowiednio spreparowane, unieszkodliwione, odpolszczone”.

Przedewszystkiem prawdziwy, rzeczywisty Mickiewicz jest postacią zbyt skomplikowaną, by można go było ująć za pomocą tak prostej formuły, jaką daje tu p. Brensztejn. Mickiewicz w okresie wileńskim i petersburskim różni się bardzo od Mickiewicza na emigracji. Wtedy, gdy Mickiewicz tworzył Grażynę, Konrada Wallenroda, pierwszą część Dziadów i t. p. bynajmniej nie był „przejęty do rdzenia duszy myślą o Polsce”. Biografowie Mickiewicza zgodnie stwierdzają, że dopiero pobyt w Ks. Poznań-

skiem pogłębił jego poczucie narodowe, a płomienny egzaltowany patriotyzm polski, jakim są osiągnięte jego utwory późniejsze w znacznej części należy przypisać oddziaływaniu środowiska emigracyjnego w Paryżu i Dreźnie. „Pan Tadeusz” wprawdzie powstał już w tym drugim okresie, ale nie może być uważany za odbicie poglądów i nastrojów poety — tułacza, twórcy „Książki pielgrzymstwa polskiego”. Utwór o zacięciu epickim miał za zadanie przedstawić obraz społeczeństwa szlacheckiego w Litwie na początku XIX w.; usuwając więc zeń pierwiastek polski, tłumacz i wydawca może być raczej oskarżony o fałszowanie historii, niż o wypaczenie intencji poety.

Co się tyczy wpływu, jaki poezja Mickiewicza, zdaniem p. Brensztejna, mogłaby wyrzucić na obecną młodzież litewską, to obstaruję przy swem twierdzeniu, że w tej formie, w jakiej ją podał p. Birżiszka jest ona bardziej bliską i pociągającą dla ucznia współczesnej szkoły litewskiej, niż w przekładzie dosłownym.

Wątpić nawet można, czy przy panującym w opinii litewskiej nastawieniu antypolskim taki Mickiewicz, jakim go chce widzieć p. Brensztejn, byłby wogóle tolerowany w programach szkolnych.

Potwierdza to również prof. Birżiszka, który w wywiadzie ze współpracownikiem „Liet. Aidas” tak tłumaczy motywy swego postępcu.

„P. Brensztejn jest dawnym moim znajomym, jak również dobrym znajomym wielu Litwinów, jako wielki miłośnik przeszłości. Jest on jednak złym politykiem, co właśnie się ujawniło, gdy opublikował swe zarzuty. W interesie bowiem samych Polaków leżałoby przemilczenie owego rzekomego odpolszczenia Mickiewicza. Zbiór pism Mickiewicza w języku litewskim zastosowany został przezemnie specjalnie dla potrzeb szkolnictwa litewskiego. Wyraźnie też w tym podręczniku szkolnym jest powiedziane, że pewne rzeczy w nim zawarte, zostały przekształcone i przystosowane do użytku szkolnego. W podręczni-

Monotonnie dzwonią dzwonki wozów weselnych. Marysia się zdaje, że podobne są one do pacierzy dewotek, które już dawno zapomniały znaczenia słów wszelakiej modlitwy. Koła skrzypią i wrzynają się głęboko w piasek. Każdy stukot kół wozów weselnych odbija się bolesnym echem w Marysinem sercu. Zda się, wszystkie one, wraz z ogólną radością, z uśmiechami, ciężko przygniatającemi ją swym ciężarem, przejeżdżają przez jej piersi... Jada, popędzają konie, śpieszą, a z jej piersi zjechać nie mogą.

Siwy proboszcz. Sine wargi skromnie zaciśnięte. Czoło delikatnymi zmarszczkami poorane.

— Chociaż jemu, siwemu, dobremu proboszczowi padnę do nóg. Powiem wszystko... Co? Co powiem?.. On zrozumie. On taki... siwy...

Wtem najeżyła się sutana proboszczowa:

— Prędzej, bałwanie jeden! Czego marudzisz? — Twardy głos proboszcza do reszty pozbawił władzy w rękach zakrystjana, który i tak już nie mógł zapalić świecy.

Twarz Marysina jakgdyby warstwą kurzu się pokryła.

\* \* \*

Ten sam świreń z okrągłych belek zbudowany. Drzwi w kratkę wymalowane. Dla państwa młodych

matula łożę przygotowała. Są puchowe poduszki, są i derki w ładne desenie utkane.

Pan młody, przez wszystkich „merykanem” zwany. Marysia. Oboje w izdebce.

— Gdzie lubisz spać, z brzegu czy od ściany?

— ...

— Ach, prawda, tyś nieprzywykła. Ale przywykniesz prędko. Z początku tylko ni siak, ni tak... che — che — che — popisywał się Amerykanin miodowemi dowcipami.

— Ciepłaś ty, dziewczuszko! jak indyk. A ja-ka nóż-ka ok-rąg-ła...

Marysia z łożka dała susa. Amerykanin nie zdążył jej przytrzymać. Zasówka odskoczyła. Drzwi się otworzyły. Marysia przez nie na podwórko. Potem do sadu. Zaszleściły liście, kilka gałązek się złamało. I wszystko ucichło.

— Poczekaj! Dokąd ty?! Dzieweczko! A, dziewczeczko!

— Co to? Co? — pytają rodzice.

— Bo to dziewczeczki niema. Wyskoczyła.

W ciemnym sadzie, w którym gałęzie tak i czyhają, by swe ostrze w czyjeś oko wsadzić, stary głos, to uprzejmie, lisim sposobem, to szorstko, na różne tony woła:



ku tym wskazane również i poleczone zostały wydawnictwa, w których znajdują się tłumaczenia Mickiewicza na język litewski w całości i bez przerobek. Zbiór mój nie jest przecież samym utworem literackim, a tylko podręcznikiem szkolnym. Postąpiłem w tym wypadku podobnie, jak i z innym wydanym przezemnie podręcznikiem do użytku szkolnego, gdzie odpowiednio przystosowałem, a gdzieśgdzie przerobiłem pisma litewskie Duonelajtisa. To też i Mickiewicza szkole litewskiej można było dać tylko litewskiego. Sami nauczyciele mogą nawet częstokroć nie rozporządzać źródłami dla należytego oświetlenia Mickiewicza.

Niemądra polityka polska przejawia się w tem, że po całym tym alarmie z powodu wydanego przezemnie podręcznika szkolnego, zawierającego pisma Mickiewicza, mogliby Litwini zacząć się domagać usunięcia Mickiewicza całkowicie ze szkoły. Wątpliwą jest rzeczą, ażeby to miało przypaść Polakom do gustu. Przecież w Wileńszczyźnie władze polskie ze względów politycznych nie pozwalają używać w szkołach podręcznika w języku polskim p. t. „Nowe czytanki”, zawierającego teksty o Litwie z pism Adama Mickiewicza, Kondratowicza, Kraszewskiego i innych. Trzeba też przecież liczyć się z okolicznościami politycznymi i z nastrojem społeczeństwa krajowego.

W uniwersytecie litewskim im. Witolda Wielkiego wygłaszam o Mickiewiczu wszystko, nic nie ukrywając. Jednocześnie wymagam, ażeby moi słuchacze — studenci czytali tekst oryginalny w języku polskim. Innemi słowy, zgodnie ze swojemi poglądami, mówię swoim słuchaczom nietylko o litewskim Adamie Mickiewiczu”.

Z powyższego wyjaśnienia jest zupełnie wyraźnym, że p. Birżiszka rozróżnia dokładnie swą rolę, jako uczonego i profesora literatury i swę zadania, jako pedagoga szkolnego. A p. Brensztejn tej podwójnej roli nie bierze pod uwagę.

I dlatego oświetla całą sprawę jednostronnie.

— Mańka!.. Maryśka al.. Mańka, chodź żel.. Nie śmiesz ludzi... Maryysial

Tylko świerszcze. Tylko leniwe głosy psów ze snu zbudzonych.

A pan młody stoi w bieliźnie na progu, niczem samotna szprycha w złamanem kole, flegmatycznie drapie brzuch wydęty i mruży sobie pod nosem.

— Powiedźcie no... koza, a? Wyskoczyła...

U — — — al — otwiera się w szerokiem ziewnięciu gęba.

— Et... pobiega i wróci.

Zaskrzybiały dźwi, stęknęły deski podłogi i z wnętrza izdebki poczęło się rozlegać donośne chrapanie...

\* \* \*

Ogromna, mosiężnemi, błyszczącemi, jak kocie oczy, rzędami główek ćwiekowych ozdobiona skrzynia rozdziawiła swą szeroką gębę okutą i wyrzuciła z siebie kawałek jasno-żółtego jedwabiu.

— Patrz, dziewczeczko, ładne? co?

\* \* \*

Amerikanin wiezie żonę do Kowna. Tam pokaze jej knajpy, piwem ugości. Pokaze miejskie dziwy.

## Noli me tangere.

Na artykuł „Za i przeciw unji” p. Janowskiego zareagował na łamach „Słowa” p. W. Charkiewicz w sposób zgoła nieoczekiwany. Dopatrzył się on mianowicie w wywodach p. Janowskiego jedynie nienawiści do polskości i złośliwej tendencji i pod tym kątem widzenia potraktował całe jego rozumowanie.

Nie mam zamiaru prowadzić tu polemiki z p. Charkiewiczem na temat zagadnienia Unji i przyczyn jej upadku. Nie czuję się do tego kompetentnym. Mam nadzieję, że autor artykułu „Za i przeciw unji”, który jest czasowo nieobecny w Wilnie, odpowie sam na zarzuty p. Charkiewicza.

Chodzi mi o co innego: o tak rozpowszechnioną w publicystyce polskiej skłonność do posądzania każdego, kto występuje z krytyką tych lub owych objawów ekspansji polskiej, czy to pod względem kulturalnym, czy politycznym, w przeszłości, czy teraźniejszości — o powodowanie się tendencją, niechęcią lub uprzedzeniem do polskości. W każdym takim wystąpieniu zaraz się węszy jakąś nieprawomyślność, zdradę, zaprzaństwo albo obojętne wpływy.

Nie zaniedbał tak postąpić również i p. Charkiewicz, pomawiając p. Janowskiego o „nienawiść do wszystkiego, co polskie”. Dlaczego p. Janowski, który jest — wbrew widocznym przypuszczeniom p. Charkiewicz — niewątpliwym Polakiem, ma nienawidzić wszystko, co polskie? Psychologicznie byłoby to rzeczą całkiem niezrozumiałą. Przeciwnie, p. Janowski w szeregu wypadków dał się poznać jako zdecydowany państwowiec polski a za czasów Litwy Środkowej swój patriotyzm polski manifestował nawet wcale jaskrawo.

Wystarczyło jednakże, że zajął stanowisko krytyczne względem działalności polonizacyjnej bazylianów, dość, że wystąpił w obronie zaniedbywanych potrzeb duchowych ludności białoruskiej (w dawnych notabene czasach), aby niezwłocznie został zaliczony do szeregu wrogów polskości.

A ona?

Jeżeliby kto raptownie odwrócił się w tę stronę, gdzie usiedli: Amerykanin i jego żona, to ujrzałby taki obraz:

Amerikanin układa się do snu. Jego głowę, łysiną świecąca troskliwie podtrzymuje żona swemi bardzo ładnemi rękami, które chociaż widziały pracę, lecz się od niej nie zniekształciły. Amerykanin, z twarzą, jak niedopieczony rogalik, całym ciężarem swego tułowia zwałił się na kolana kobiety.

A ona pocichutko, aby nikt nie usłyszał, szeptała doń:

— Czy ci wygodnie?.. Tak wygodniej, prawda? Jego wargi poruszało chrapanie:

— mrm... mrm... mrm.

\* \* \*

Po wąskim torze, ciągnącym się od Birż ku Szawłom, pełźnie kolejka sapiąc i stękając. Parowozik, dymem spowity, mały, niczem główka robaka, wlecze za sobą niby części swego ciała 5 wagoników.

W wagonikach uczyniło się jeszcze bardziej zimno, wilgotno i smutno.



Kto nie czytał artykułu „Za i przeciw unji”, ten na podstawie relacji o nim p. Charkiewicza, będzie przekonany, że spokojne i beznamienne rozważania p. Janowskiego są nacechowane jakąś wyjątkową złością i niechęcią. W tym celu p. Charkiewicz umyślnie zgęszcza barwy. Píše tedy: „Nienawiść do wszystkiego, co polskie, każe „Opini katolickiej” (w imieniu której przemawiał p. Janowski) uważać Polaków i polskość za *źródło wszelkich klęsk i zbrodni*” — albo „Mniejsza: przecież chodzi o zaznaczenie, że wszystko, co było w Unji polskiego, *było trucizną i miało w sobie zarazki dżumy*”.

Gdzie coś podobnego można znaleźć w inkryminowanym artykule? P. Charkiewicz, który z takim przekąsem odzywa się o nieścistościach p. Janowskiego, nie waha się sam uciec do grubej przesady, byle wystawić swego przeciwnika w jaknajbardziej ujemnym świetle!

Są to metody, niestety, będące u nas w powszechnym użyciu. Jakieś nadmierne przeczulenie, jakaś chorobliwa drażliwość na punkcie polskości nie dopuszcza najłżejszej jej krytyki, każe zamykać oczy na własne błędy i winy, wszelkie inne kryterjum poza interesem narodowym (w dodatku pojmanym niezmiernie powierzchownie i formalnie) uważa za niesłychaną zbrodnię, za hańbę, za zwrócenie!

Dopókiż będzie trwała ta egzaltacja? Można było zrozumieć ją i poniekąd usprawiedliwić w pierwszych latach po odzyskaniu wolności, ale czas już wielki zacząć czuć i myśleć jak przystało człowiekowi normalnemu.

Licz.

## Noc księżycowa.

Wisząca kropla przelotnej jasności,  
Nad śnieżną górą błyszczy księżyc wielki...  
I tylko patrzeć, jak się zaraz zniży  
I zwilży blaskiem biały szczyt Trzech Krzyży.  
Piją poświatę śniegi brylantowe,  
A on się zmniejsza... srebrnieje... ulota...  
Jak kryształowa tajemnica świata,  
Której Trzy Krzyże rozumieją mowę.

Agnieszka Kiejdziówna.

## Piszą do nas.

### Zdzczenie.

Na uniwersytecie lwowskim odbyła się w d. 14 października b. r. inauguracja nowego roku akademickiego. Licznie zebrana młodzież akademicka po „pobożnym” wysłuchaniu mszy św. i kazania w kościele, po uważnym wysłuchaniu dalej wykładu wstępnego na uniwersytecie — uzbroiła się, bezpośrednio potem w kamienie, pałki, tomy i drągi i poszła — gromić ukraińskie kulturalno-ekonomiczne oraz naukowe instytucje, a także prywatne sklepy i mieszkania Ukraińców.

Taka inauguracja ze strony polskiej młodzieży akademickiej we Lwowie nie jest u nas czemś nie-

zwykłym, w ciągu 12 lat podobne wypadki zdarzały się niejednokrotnie.

Nowem w tegorocznej inauguracji jest tylko to, że młodzież uniwersytecka, narodowa i katolicka, zjednoczona w „Odrodzeniu”, która to organizacja jest *składową częścią Akcji Katolickiej w Polsce*, tym razem wybiła okna w gr. katol. duchownym seminarjum przy ul. Kopernika 36, oraz w żeńskim klasztorze bazylijanek przy ul. Potockiego, wywołując (a była godzina 11.30 w nocy) wśród zakonnic i siostr, któremi się klasztor opiekuje — niesłychaną panikę.

Dobrze zanotujmy sobie, że ekscesów powyższych dopuściła się młodzież nie socjalistyczna lub komunistyczna, lecz *katolicka* i to bezpośrednio po wysłuchaniu mszy św. i kazania!

Ta sama młodzież, wprowadzając w czyn „Akcję Katolicką”, podczas jednej z demonstracji przeciwukraińskich, zniszczyła *publicznie*, w centrum miasta duży portret J. E. ks. Metropolity Andrzeja Szeptyckiego, ubranego w szaty liturgiczne, dokonując tego wśród złowrogich i najbardziej obraźliwych, poprostu karczemnych okrzyków, skierowanych pod adresem Metropolity. Wiadomo — że „*psie głosy nie idą pod niebiosą*”, świadczy to jednak o tem, że ta młodzież lwowska katolicko-narodowa zatraciła, nietylko katolicką, ale wogóle — wszelką ludzką etykę.

W świecie katolickim jest rzeczą niesłychaną, aby członkowie Akcji Katolickiej rzucali kamieniami w okna katolickich religijno-wychowawczych instytucji, żeby teroryzowali niewiasty i dzieci, żeby niszczyli portret katolickiego arcybiskupa i metropolity wśród plugawych wyzwisk, i w dodatku metropolity, który dużo za swe szczerokatolickie przekonania wycierpiał. I kto to robi? Elita katolickiego katolickiego społeczeństwa, które w swym „katolicyzmie” doszło aż do jego zmonopolizowania i które ów *nieszczęsny swój katolicyzm*, tak chętnie reklamuje zagranicą. Taka młodzież — to nie katolicka, ale pogańska, bo bogiem jej jest ślepy szowinizm.

Lecz na tem nie koniec. Owe napiętnowania godne uczynki młodzieży uniwersyteckiej znalazły we Lwowie i gdzieindziej gorące uznanie ze strony starszego polskiego społeczeństwa katolickiego. Popatrzmy tylko, co się dzieje. Oto *ani jedna* katolicka organizacja polska, *ani jedno* polskie katolickie czasopismo nie zdobyły się nato, ażeby bodaj w jaknajbardziej oględnej formie osądzić ostatnie wybryki młodzieży lwowskiej. Co więcej *nowet episkopat polski* nie zdobył się na to, by osądzić owe napaści na katolickie instytucje, by stanąć w obronie znieważonego publicznie metropolity i to metropolity bardzo dla Kościoła katolickiego, zasłużonego, choć właśnie episkopat polski powinien był to uczynić, gdyż jest do tego najbardziej powołany, jako reprezentant kościoła w Polsce. Powinien byłby chociaż ze względu na swą własną godność *bronąć* powagi biskupiej. Czy to zachowanie się episkopatu nie przypomina jego strusiej taktyki w stosunku do kampanji prowadzonej swego czasu przez endecję przeciwko biskupowi Matulewiczowi? I czy nie odbiła się to fatalnie na autorytecie Kościoła?

Charakterystyczne że prasa katolicka prowadzi właśnie najzacieklejszą walkę przeciw Ukraińcom katolikom i jedynie w ich obronie zabrali głos Polacy... socjaliści.

Warto tylko przypomnieć, jakże inaczej, tak, o wiele inaczej, postępował Niemcy-katolicy, gdy za



czasów Bismarka ujmowali się niejednokrotnie za Polakami, a to dlatego, że szło tu o *katolików!*

Jeżeli w Bolszewji prześladują religję wogóle, a katolicyzm specjalnie, nikogo to nie dziwi. Ale gdy katolicy w państwie *katolickiem* rzucają się na drugich katolików — to już jest objawem anormalnym, chorobliwym, wpływem niezdrowych stosunków. Oby tylko te objawy ślepego nacjonalizmu, przybranego obłudnie w szatki katolicyzmu — nie były oznakami *ogólnego* u nas zatrucia ducha katolickiego przez jad obłędu szowinistycznego części społeczeństwa polskiego. Oby całe społeczeństwo polskie zorientowało się jak najprędzej, i nie dało się prowadzić dalej na pasku patriotów galicyjskich. Trzeba, by doniosłym głosem powiedziało: „Połóżmy kres bezprawiu — niech wróci wygnana praworządność”.

S. Kit.

Lwów, 6-XII 1930 r.

### Obchód pięćsetlecia śmierci W. Ks. Witolda w Pińsku.

Za przykładem miast litewskich odbył się również d. 11 grudnia obchód rocznicy Witoldowej w wyższym Seminarjum Duchownym w Pińsku, gdzie klerycy po starannem przygotowaniu się, godnie uczcili pamięć wielkiego Kiejstutowicza, genialnego organizatora potężnego państwa między Bałtykiem a morzem Czarnym.

Oryginalna i piękna dekoracja znanej w Pińsku sali Malinowej w seminarjum zwracała uwagę widza, który musiał dłuższy czas zatrzymać wzrok na umieszczonej na wysokiej podstawie, a rzeźbiście iluminowanej figurze Chrystusa, po za którą widniał rozpięty na ścianie sztandar Polski, nad figurą zaś i obok jej, zwieszały się kolejno flagi: białoruska skrzyżowana z litewską, niżej zaś ukraińska i łotewska. Na stopniach podstawy, przykrytej barwami papieskimi, wśród zieleni kwiatów, widniał portret Wielkiego Księcia Litewskiego i głowa lwa, jako symbol mocy „srogiego Litwina”. Całość dopełniała zwieszająca się u sufitu chorągiew biskupia.

Wieczór poświęcony ku czci Witolda poprzedziło rano o godz. 9 uroczyste nabożeństwo żałobne, odprawione w katedrze przez J. E. Ks. Biskupa Łozińskiego, na którym byli obecni przedstawiciele wyższych władz wojskowych i cywilnych.

Akademia rozpoczęła się o godz. 18 przy liczonym audytorjum. Na treść jej złożyły się odczyty i deklamacje w języku: polskim, litewskim, łotewskim, białoruskim i ukraińskim; dodatkowe występy były w języku tatarskim i karaïmskim oraz niemieckim. Po każdym odczycie chór śpiewał odpowiedni hymn narodowy, podczas którego wszyscy stali. Wykonanie było dobre. Widać, że artyści wiele włożyli staranności w opracowanie programu i całkowicie przejęli się tem, co każdy z nich miał wykonać.

Całość dlatego wypadła dobrze i wywarła miłe wrażenie na słuchaczach, którym przez różne języki, odzywające się z estrady udało się żywo uprzytomnić dwór Witolda, a gdzie właśnie niegdyś rozbrzmiewały one z całą swobodą, pod opiekunictwem skrzydłem znakomitego budowniczego W. Ks. Litewskiego.

Jak z dekoracji, tak i z treści Akademii widać było, iż organizatorami jej byli ludzie, którym nie są obce tradycje naszej przeszłości.

Wielka tylko szkoda, że ta piękna akademja poliglotyczna odbyła się w ciasniejszym kole osób, a nie jako publiczny obchód, dostępny dla szerszych tłumów.

Krz.

## Witoldowe bojarstwo.

Wielkość Witolda, sukcesy, jakie osiągnął dla Litwy, chwała, którą zdobył dla siebie i narodu, miały niewątpliwie swoje źródło przedewszystkiem w jego wybitnej indywidualności, przejawiającej się zarówno w niezwykłych przymiotach umysłu, jak i w żelaznej konstrukcji jego energii i woli, ale z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że wielka część tych zasług przypada w udziale czynnikowi społecznemu, który Witold miał pozyskać dla swoich celów i przeprowadzenia zamierzeń, który potrafił natchnąć własną ideą i uczynić zeń oddane sobie i skuteczne narzędzie do urzeczywistnienia swych planów. Tym czynnikiem społecznym, współdziałającym z Witoldem ku chwale Litwy, było bojarstwo litewskie, a z pośród niego ta elita, która stanowiła najbliższe, najściślejsze otoczenie Wielkiego Księcia, jego radę przyboczną.

Bojarstwo litewskie, jako grupa społeczna, przeszło w czasach Witolda doniosłą ewolucję, której kulminacyjnym punktem był słynny akt horodelski. Zrazu przedstawia się ta warstwa, jako czynnik o strukturze bardzo złożonej i zróżnicowanej zarówno społecznie, jak i majątkowo, nieodgródzony jeszcze wyraźnie od warstw innych, wyższych i niższych, które dopiero z czasem wnikają w bojarstwo, zasilając jego szeregi. Wspólny pierwiastek, uwydatniający na zewnątrz odrębność tej warstwy, tkwi w jego charakterze zawodowym: bojar litewski to przedewszystkiem rycerz, który zawodowo poświęca się rzemiosłu rycerskiemu. Pod tym względem, jako warstwa wybitnie zawodowa, nie jest jeszcze bojarstwo litewskie szlachtą w pojęciu polskim i zachodnio-europejskim, bo nie jest stanem, nie jest odrębną kastą, zorganizowaną, zamkniętą i na zewnątrz od innych warstw odgródnioną, jaką była szlachta polska, czy niemiecka lub francuska w tym czasie. Porównać można bojarów litewskich z końca XIV w. conajwyżej z naszymi milesami z XIII w.; gdy dopiero zaczął się tworzyć i organizować w łonie zawodowego rycerstwa stan szlachecki.

Warstwa bojarska na Litwie, zasila się — jak wspomniano wyżej — elementami z górnych i z dolnych stajów społeczeństwa litewskiego. Na najwyższych szczeblach tego społeczeństwa widzimy grupę, występującą pod nazwą „kniaziów”. Kniaziowie ci nie stanowią jednolitej warstwy społecznej, ale pośród nich dają się wyróżnić dwa wyraźnie od siebie odgraniczone odłamy. Do jednego należą członkowie dynastji Gedyminowej, krewni wielkich książąt litewskich, do drugiego kniaziowie nie gedyminowskiego pochodzenia, potomkowie prawdopodobnie dawnych udzielnych kniaziów litewsko-żmudzkich, którzy po swem zmedjatywowaniu i utracie suwerenności zatrzymali tytuł kniaziowski. Należą tu kniaziowie Olgimontowicze-Holszańscy, pieczętujący się Hipocenturem, dalej Jamontowicze, których Witold osadził na Klecku, Sudymuntowicze i t. d. Ale najciekawsze z pośród tych rodów kniaziowskich są



trzy, a to ze względu na swój stosunek do kształtującej się wówczas warstwy bojarów: Giedrojciowie, Świrscy i Radziwiłłowie. Rody Giedrojciów i Świrskich bowiem rozdzieliły się każdy na dwie gałęzie, z których jedna pozostała kniaziowska, a druga, zarzucając tytuł kniaziów, wniknęła w warstwę bojarów. Radziwiłłowie zaś oraz ich gałąź Ościkowicze pochodzili najprawdopodobniej także od dawnych kniaziów plemiennych na Kiernowie, utrzymując w rodzie pamięć protoplasty swego, kapłana Lizdejki, wcześniej jednak również porzucili tytuł kniaziowski i weszli w poczet bojarów.

Kiedy więc bojarstwo litewskie część swoich soków żywotnych ciągnęło z dostojnych sfer drugorzędnych kniaziostwa, to równocześnie daje się zauważyć zjawisko inne, że ludzie z niższych, służebnych sfer społecznych, wnikali w warstwę bojarów. Mam tu na myśli Wojdyłę, który będąc niskiego, chłopskiego pochodzenia, dzięki swym przymiotom osobistym tak sobie zjednał Olgierda, że go przyjął na swój dwór i podniósł do rzędu bojarów. Posiadamy też w źródłach jeszcze w pocz. XV w. wyraźne wzmianki o chłopach żmudzkich, którzy mieli swych krewnych pośród bojarów tak, że warstwa ta o charakterze wyraźnie zawodowym, rycerskim, miała wówczas szranki otwarte, tak ku górze, jak i ku dółowi społecznego gmachu.

Była jednak ta warstwa bojarska silnie zróżnicowana, zarówno społecznie, jak i majątkowo. Obok grupy rodów pańskich, przodujących swym wpływem politycznym i zamożnością gospodarczą, mamy tu liczną rzeszę bojarów służebnych, podporządkowanych możniejszym bojarom, a różniących się w swych warstwach najniższych tylko zajęciem, służbą wojenną, od ludności wieśniaczej. Ci możniejsi jednak bojarowie, jakkolwiek również osobiście zależni w wysokim stopniu od Wielkiego Księcia, kulturą swoją i sposobem życia naśladowali zewnątrz szlachtę zachodnią, przybierając n. p. znaki napieczęte na wzór herbów, które jednak herbami w pojęciu zachodnio-europejskim i polskim jeszcze nie były. Kiedy zaś Litwa układem krewskim weszła w związek z Polską, bojarstwo litewskie wymogło na Wielkim Księciu Jagiellu w r. 1387 doniosłej wagi przywilej wileński, który miał je w prawach zrównać ze szlachtą polską, „aby nie różnili się w prawach ci, którzy są poddani jednej Korony”. Najważniejsze z postanowień przywileju wileńskiego, w artykule pierwszym, obdarzyło bojarów prawem pełnej własności w odniesieniu do dóbr po przodkach dziedziczonych. Dzięki temu postanowieniu, jak i innym artykułom przywileju z r. 1387, bojarstwo litewskie zostało gospodarczo i społecznie znacznie podniesione, jakkolwiek daleko mu było jeszcze do tej pełni praw, jaka przysługiwała szlachcie polskiej, i pozostawało ono nadal jeszcze „w jarzmie niewoli”. Zdjąć to jarzmo z barków jego i zrównać bojarów ze szlachtą polską miał dopiero akt horodelski 1413 r.

Akt horodelski jednak nie stał się udziałem całego bojarstwa litewskiego, ale tylko kilkudziesięciu rodów bojarskich, wybranych przez Witolda, celem adoptacji, czyli przyjęcia do herbów tyłuż rodów szlachty polskiej, przy równoczesnym zrównaniu w prawach litewskich uczestników zbratania horodelskiego ze szlachtą polską. Tym sposobem tych kilkadziesiąt rodów bojarskich, dzięki adoptacji herbowej wprowadzonych w kręgi stanu szlacheckiego, zostało dopiero wtedy szlachtą w pojęciu polskim i zachod-

niem. Reszta bojarstwa pozostała na razie poza tym nawiasem.

Nasuwa się pytanie, na jakiej zasadzie dokonał Witold tego wyboru. Aby na nie odpowiedzieć, trzeba przyrzeć się bliżej tym rodóm, które dostały w Horodle adoptacji herbowej. Przedewszystkiem uderza fakt, że niema pośród nich kilku wybitnych rodów kniaziowskich, jak Holszańskich, Dowgołowiczów, Jamontowiczów, Sudymontowiczów są natomiast te rody kniaziowskie, które weszły w szereg bojarstwa, Giedrojciowie, Świrscy i Radziwiłłowie. Pominięcie tamtych rodów kniaziowskich przez Witolda pociągało za sobą ich upośledzenie w stosunku do wybranego bojarstwa, a temsamem przyspieszyło proces ich medjatyżacji. Wybór Witolda ograniczył się do koła tych rodów bojarstwa litewsko-żmudzkiego, które w niedawnym chrzcie przyjęły katolicyzm. Wykluczone zatem zostały od wyboru rody bojarów ruskich tak na Litwie właściwej, jak i na Rusi litewskiej, na które dopiero później, za Zygmunta Kiejstutowicza, w r. 1434 rozszerzono adoptację herbową. Natomiast trzeba z naciskiem zaznaczyć, że w Horodle dostąpili adoptacji nie tylko rdzenni Litwini, ale i szereg rodów ze Żmudzi pochodzących, jak Rekuciovie, Monstwiłdowie, Sześnikowicze i in.

Jeszcze jedna okoliczność zwraca naszą uwagę przy rozpatrywaniu tego wyboru: oto Witold uwzględnił oczywiście przedewszystkiem rody najwybitniejsze, najmożniejsze i z nim oddawna związane. Można je nazwać rodami pańskimi, do których należą tacy Moniwidowie, Kieżgajłowie, Gasztołdowie, Radziwiłłowie, Sunigajłowie.

Ale poza tymi kilkunastu najznakomitszymi rodami dokonał Witold wyboru całej masy rodów pośród bojarstwa drobnego, zupełnie dotąd nieznanego, a i później nie odgrywającego żadnej roli politycznej czy kulturalnej. Cały szereg imion bojarów adoptowanych w Horodle pojawia się tam po raz pierwszy, ale zarazem i ostatni (taki n. p. Konczan Sukowicz, czy Miczus, lub Twerbut i t. d.). Odnosi się wrażenie, jakoby Witold celowo chciał podnieść to drugorzędne bojarstwo do stanu szlachty, aby je związać z sobą, uczynić sobie wdzięcznym i oddanym, dla przeciwstawienia ich przemożnym wpływom rodów pańskich. Z drugiej znów strony daje się zauważyć fakt, że Witold pominął przy wyborze szereg wybitnych bojarów, jak marszałka dwornego Czapurne, jak możnego Zenowiewa Bratoszyca, pana na Myszy, Montygajła i in., którzy pozycją społeczną a i wpływem politycznym bynajmniej nie stali niżej od takich Moniwidów, czy Minigajłów i Jawnutów, adoptowanych w Horodle. Być może, iż przy tem ich pominięciu odegrały rolę względy osobiste, narażenie się czemśkolwiek Wielkiemu Księciu i t. p. Oczywiście całe to pominięte przy wyborze Witolda bojarstwo nie dostało zrównania w prawach ze szlachtą polską, pozostało nadal „w jarzmie niewoli”, jak się wyraził akt horodelski, i dopiero z biegiem czasu, drogą powolnej ewolucji ta pozostała poza nawiasem reszta bojarstwa osiągnęła to stanowisko społeczne, które w Horodle przypadło tym kilkudziesięciu wybranym przez Witolda rodóm. Przypatrzmy się jeszcze tym panom i bojarom litewskim, którzy stanowili najbliższe koło zaufanych dworzan Witolda, którzy sprawowali najwyższe nadworne czy ziemskie urzędy, tworzyli radę wielkksiążęcą, jednym słowem, na których Witold opierał całą swoją działalność i z którymi dzielił jej sukcesy.



Na czoło wybija się tu postać Wojciecha Moniwida Gajliginowicza, dziewierz Witołda, ożenionego z siostrą żony jego Anny, ks. Smoleńskiej, starosty, a od r. 1413 wojewody wileńskiego; brat jego Gedyołd był naprzód marszałkiem nadwornym, potem odegrał rolę na Rusi jako wojewoda kijowski i starosta podolski, aby po bracie Moniwidzie objąć urząd wojewody wileńskiego. Syn jego Sienko Gedyołodowicz był jednym z najoddańszych powierników Witołda i jeździł w sprawie koronacji jego w poselstwie do Rzymu. Przyjęci byli do rodu przez Leliwitów, najzasłużeńszych około unji panów polskich. Nie ustępowali Moniwidom, pod względem starożytności i znaczenia Gasztołdowie z Geranojn, z których Andrzej Gasztołd, podobnie jak i tamci, był nieodstępny towarzyszem i najoddańszym sługą Witołda, biorącym udział w akcji saliniskim 1398, jak i w unji wileńskiej 1401 (wraz z synem Taliwojszem) i później w traktatach raciążkich 1404. Syn jego Jan dostąpił w Horodle adopcji do potężnego rodu polskiego Awdańców i był później (od r. 1426) marszałkiem nadwornym Witołda. Trzeci taki znaczny ród bojarowski, to Ościkowie z Kłernowa, potomkowie dawnych kniaziów plemiennych, z których Krystyn Ościk również od najwcześniejszych lat wierny druż Witołda, na Salinie w Wilnie, Raciążu, Toruniu czy nad Melnem podpisujący traktaty, obdarzony został przez Wielkiego Księcia po Minigajle z Dziewieniszek godnością kasztelana wileńskiego. Syn jego Radziwiłł, protoplasta sławnego później rodu, już w latach dwudziestych XV w. dostąpił godności marszałka dworskiego. Od czasu Horodła mają w herbie Trąby. Niemniej zasłużonym około Witołda i jego spraw był ród Wolimuntowiczów z Dziewałtowa, adoptowany w Horodle przez polskich Zadorów. Stary Wolimunt, syn Buszka, druż saliniski Witołda, miał kilku synów, z których najstarszy, zdaje się, Rumbolt już wcześniej był w Polsce i pracował gorliwie nad przygotowaniem unji, potem odegrał wybitną rolę w odzyskaniu Żmudzi, był jej pierwszym starostą, który to urząd odstąpił (1412) bratu Kieżgajle, sam obejmując godność marszałka ziemskiego litewskiego. Trzeci ich brat Jawnuta był starostą, później od Horodła wojewodą trockim, czwarty Szedybor kasztelanem kowieńskim i starostą wilkomierskim. Wszyscy oni zabiegali około pozyskania korony królewskiej dla Witołda, posługując w tej sprawie do Jagielly i papieża.

Nie podobna tu wymieniać wszystkich tych znacznych bojarów, którzy tworzyli elitę społeczeństwa litewskiego i zasłużyli się około Wielkiego Księcia. Wystarczy wspomnieć jeszcze tylko o Sunigajle, kasztelanie trockim, Niemirze, namiestniku połockim, dwóch Butrymach: ojcu Janie i synie Jerzym, którzy obaj byli marszałkami dworu Witołda, Montygerdzie i synach jego Hanuszu, Olechnie i Piotrze, z których ostatni był starostą podolskim i marszałkiem dworu. Wszyscy oni biorą najżywszy udział w sprawach państwa, świadczą na dokumentach Witołda, odprawiają delegacje zagraniczne i biją się u boku swego pana. A Witołd umie docenić ich zasługi, obdarza ich urzędami i nagradza nadaniami majątków bądź to w czasie dzierżenia, bądź nawet wzorem polskim w wieczyste, dziedziczne władanie. Znamy kilka takich Witołdowych nadań, z których najhojniejszym jest obdarowanie Moniwida szeręgiem włości, ludzi i dochodów.

„Kur. Lit.-Nauk.”

Prof. dr. Władysław Semkowicz.

## Wystawa Białoruska w Mińsku.

Barwne i interesujące wrażenia z pobytu w Ros. Sow. kreśli obecnie na łamach „Naszego Przeglądu” znany sprawczdawca parlamentarny tego pisma p. Bernard Zyngier. Z szeregu feljetonów, pozwalamy sobie przedrukować opis odbywającej się podczas pobytu p. Zyngiera w Mińsku (wczesną jesienią) wystawy Białoruskiej.

Mińsk jest urzędową stolicą Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Wprawdzie państwo jest małe (na terytorjum Białorusi Sowieckiej mieszka 6.000.000 obywateli, a ilość Białorusinów wynosi 82 proc., lecz stolica Białorusi jest najmniej białoruską, choć władze centralne uczyniły wszystko, by zbiałoruszczyć Mińsk oraz szereg miast i miasteczek.

Należy pamiętać, że kultura białoruska dopiero rozwija się, że teraz niedawno rozpoczęto w Mińsku usilną pracę w kierunku stworzenia słownika białoruskiego. Instytut Kultury Białoruskiej istnieje niedawno i stworzenie kadrów inteligencji białoruskiej napotyka na pewne trudności. Miasta bowiem i miasteczka mają ludność przeważnie żydowską, a naród białoruski ma ludność przeważnie włościańską. Rząd białoruski organizuje kadry urzędników białoruskich, uniwersytet Miński jest białoruski, istnieje teatr białoruski w Mińsku. Po ustaleniu zasady, że dzieci chłopów i robotników mają pierwszeństwo przy wstąpieniu do wyższych zakładów naukowych, procent Białorusinów w wyższych i średnich zakładach naukowych podniósł się znacznie.

Z wielkim trudem udało się wprowadzić białorutenizację Sownarkomu (rada komisarzy ludowych), narzucono urzędnikom przyjeżdżającym z Centrali Z. S. R. N. do Mińska naukę języka białoruskiego. Starzy urzędnicy, którzy zostali jeszcze w mieście uczą się u schyłku lat swoich gramatyki białoruskiej.

Na sztydach wszystkich sklepów w Mińsku widnieją na naczelnem miejscu napisy w języku białoruskim. Dopiero po języku białoruskim umieszczone zostały napisy po żydowsku, po rosyjsku i po polsku. A jednak Mińsk nie jest jeszcze dotychczas miastem białoruskim. Wychodzi tam pismo w języku białoruskim pod nazwą „Sowiecka Białoruś”, wychodzi cały szereg tygodników w języku białoruskim, według planu „piatiletki” białorutenizacja powinna iść w szybkim tempie naprzód. To też Żydzi białoruscy biorą czynny udział w białorutenizacji kraju, nie znaczy to jednak, że ulegają wpływom kultury białoruskiej. Znają język, pracują w pismach białoruskich, układają podręczniki białoruskie, tworzą poezję białoruską... Odbywa się to być może kosztem kultury żydowskiej, choć przyznać należy, że w Instytucie Kultury Białoruskiej dział kultury żydowskiej zajmuje poczesne miejsce i badanie kultury żydowskiej oraz popieranie szkolnictwa żydowskiego odbywa się na szeroka skalę.

Zwiedzanie jednak teatru białoruskiego jest raczej wyrazem dobrego serca mieszkańców Mińska, niż ich potrzebą. Mińsk żyje jeszcze wpływami kultury rosyjskiej, mimo iż ta zostaje coraz więcej wypierana. Statystycznie w Mińsku mieszka 43 proc. Żydów, 40 proc. Białorusinów, 7 proc. Rosjan, 1 i pół proc. Polaków i 1 i pół Ukraińców; lecz ucho przyjeźdźnego nie może potwierdzić prawidłowości statystyki. Tylko chłop z koszem w rękę i urzędnicy w urzędach mówią po białorusku. Na ulicy miasta rozlega się język żydowski i rosyjski, lecz proces białorutenizacji posuwa się widocznie naprzód. W r.



1923 w tramwaju konnym konduktor zwracał się jeszcze po rosyjsku, w roku 1926 w księgarniach rzucały się w oczy przeważnie książki rosyjskie. W roku 1930 konduktorka w tramwaju elektrycznym zwraca się do publiczności w języku białoruskim, w księgarniach państwowych przeważają książki w języku białoruskim. We wszystkich urzędach góruje język białoruski, a przewodnicy na wystawie (studenci nowego pokolenia) z trudem rozmawiają po rosyjsku, posługując się między sobą językiem ojczystym.

Nie miałem okazji zwiedzenia teatru białoruskiego, jak również teatru żydowskiego w Mińsku. Sezon miał się rozpocząć dopiero za kilka tygodni, a artyści żydowscy i białoruscy pełnili służbę społeczną, wysłano ich do Kołchozów i Sowchozów, tam mieli grać sztuki specjalnie ułożone dla propagandy Kołchozów. Tam deklamują wyjątki z mów wybitniejszych działaczy komunistycznych i stanowią pomocniczą siłę agitacyjną. W ten sposób wyzyskana została dykcja aktorów białoruskich i żydowskich.

Nie udało mi się również zwiedzić szkoły białoruskiej i żydowskiej w Mińsku. Rok szkolny dopiero się rozpoczął, choć w księgarniach skarżą się, że mimo pierwszych dni roku szkolnego nie będzie można uwzględnić zapotrzebowania ludności, bo podręczników szkolnych jest za mało. Brak papieru daje się we znaki w stolicy białoruskiej.

Trafiałem natomiast na wystawę białoruską.

Na skrzyżowaniu dwóch ulic stoi w ogonku ogromny tłum: to czekają cierpliwie kolejki do tramwaju elektrycznego. Tramwaj niedawno zainstalowany prowadzi na wystawę Białoruską. Setki chłopów maszeruje na piechotę w stronę wystawy, ze wszystkich okolic Białorusi przybywają delegacje, wycieczki. Jedzie się przez przedmieście Mińska, prowadzące do szosy Borysowskiej, dawniej było tam pusto, dziś cegły, cement, rowy, fundamenty i gorączkowa praca koło budowy bloku domów. Ma powstać nowa dzielnica w Mińsku, tak jak powstała niedawno dzielnica uniwersytecka, t. zw. Uniwersytecki gorodok (miasteczko uniwersyteckie), jak powstał zresztą szereg gmachów pod fabryki i fabryka-kuchnia, przeznaczona dla zaopatrzenia w obiady 15,000 osób dziennie. Droga prowadzi przez stadion dla ćwiczeń gimnastycznych.

Przed gmachem wystawy znowu długie ogonki. Są dwie taryfy biletów wejścia, jedna dla członków związku zawodowego młodzieży szkolnej, druga dla niezależnej reszty. Mały jest bowiem procent stojących w ogonku bez książeczki związku zawodowego. Dużo wchodzi za specjalnymi kartami dla przyjezdnych. Karta ta upoważnia do wejścia do tramwaju przez przednie wejście, do otrzymania obiadu w specjalnych jadalniach wystawy.

Obszar wystawy jest znaczny. Na przestrzeni 75 hektarów znajduje się 48 pawilonów.

U wejścia wystawy oczywiście napisy na cześć WKP (wszechzwiązkowej komunistycznej partji), na cześć KPB (komunistycznej partji białoruskiej), na cześć dziesięciolecia Białorusi Sowieckiej, na cześć budownictwa socjalistycznego. W centrum placu wystawowego pomnik Lenina, nieco zgarbiony, z pięścią wzniesioną w górę.

Trudno zastosować ogólne normy wobec wystawy, nie jest to przegląd sił z okazji 10-lecia sowieckiego państwa, lecz agitacja na rzecz Kołchozów (kollektywnej gospodarki), Sowchozów (państwowe gospodarki wiejskie), mechanizacji wsi (traktory),

mechanizacji fabryki, zwiększenia intensywności pracy w mieście i na wsi i propaganda na rzecz piatilietki, czyli jak z patosem oświadczają przewodnicy, na rzecz „Budownictwa Socjalistycznego”.

W Rosji Sowieckiej obowiązują wobec każdej rzeczy „podejście klasowe” (klassowyj podchod). Podręcznik, powieść, obraz w kinie, przedstawienie w teatrze, wszystko jest rozważane ze stanowiska interesu klasowego. Pod tym kątem rozważane jest również zagadnienie narodowościowe, kobiece, obywatelowe itd. To też nie dziw, że w centrum wystawy Białoruskiej w Mińsku znajduje się pawilon, poświęcony partji bolszewickiej. Tabele ilustrują historię partji, wojny domowej, walki z odchyleniami. Dalej znajduje się gabinet z tablicami statystycznymi, doborem odpowiednich książek — tak ma wyglądać pokój sekretarza Komjaczajki (komunistycznej komórki) w fabryce. Następnie obejrzeć można wzory specjalnych pokoi dla sekretarzy partji w powiatach, na wsi itp. W dziejach wojny domowej „poczytne” miejsce zajmuje Bułak Bałachowicz, obok niego mieszczą się źle malowane obrazy o pogromach z roku 1919 i 1920.

Specjalny pokój został poświęcony walce z religią. Prócz karykatur znajdują się tam zbiory bożków chińskich, asyryjskich, rysunki mumii egipskich, dalej karykatury Boga żydowskiego obok satyry na inne wyznania. Wszyscy występują w roli sług kapitału. Wśród podręczników o walce z religią znajdują się między innymi książki żydowskie, a wśród nich podręcznik szkolny Altszylera pod nazwą „antyreligijny podręcznik”.

Przez pawilon partji prowadzą ekskursantów specjaliści przewodnicy, wyznaczeni przez „Agitprop” (agitacyjno-propagandystyczne oddziały przy partji). Kierowniczką stara się wciągnąć opinię ekskursantów, usłyszeć zdanie chłopów, przyglądających się karykaturom antyreligijnym; w pewnej chwili pokazywanie i objaśnianie przeistacza się w dyskusję polityczną.

Wystawa druków jest znowu historią partji, historią wojny domowej. Wprawdzie na wystawie zobaczyć można pierwsze wzory prymitywnej drukarenki, oraz dalszy rozwój techniki drukarskiej, lecz góruje nad wszystkim pokaz pism sowieckich, rozwoju prasy partyjnej, pokazy pism nielegalnych na Białorusi z roku 1919 i 20. Wśród kolekcji pism poczytne miejsce zajmują gazety żydowskie, dzienniki żydowskie, tablice wzrostu prasy żydowskiej na Białorusi.

Obok pawilonu druku mieści się improwizowana drukarnia, gdzie czerzy składają codzienne pismo — biuletyn wystawy.

Za kulisami jednego z pawilonów mieści się dział elektryfikacji Białorusi. Nie jest to obraz obecnego stanu elektryfikacji kraju, lecz plan na podstawie „piatilietki”. Lampki palące się na karcie — to punkty w okolicach Borysowa, Bobrujska, Orszy, gdzie rozpoczęła się dopiero budowa stacji elektrycznych. Mówca, objaśniając plan elektryfikacyjny, rozpoczyna od przysłowiowego wstępu: „Władze carskie nie dążyły do rozwoju przemysłu, ani kultury w kraju. Dopiero rząd bolszewicki itd.” To samo słyszeć można w każdym pawilonie, przy każdym ekspozycie, w dziale nauki, szkolnictwa powszechnego. Wszędzie przewodnik oświadcza: „Dopiero itd”.

Największym powodzeniem na wystawie cieszą się stołówki, tu karmią podobno lepiej, niż w mieście. Przy stołach toczą się dziwne rozmowy o prze-



kwalifikowaniu, o delegacjach, o Wuzach i Wtuzach (wyższe zakłady naukowe, wyższe zakłady techniczne). Twarze opowiadających mało inteligentne, prostackie fizjonomie chłopskie, ręce grubawe, — studentki w chuścinach na głowie, w ubiorze chłopskim. Studenci ubrani po chłopsku, w butach. Trochę krzywię się przy spożyciu zupy, odstawiam kaszę oraz zapiekanekę z pseudomięsem. Mój sąsiad, który prowadził rozmowę ze swoją sąsiadką na temat mieszkań studenckich (obszczeżytia) i chwalił dobre odżywianie w stołówce studenckiej, spojrzał na mnie pogardliwie, a sąsiadka jego dodała wcale głośno: „z żyru bie-siatsia” (wściekają się z przesytu). Wszystkie te obiady otrzymać można jedynie za talonem, lub za kartą specjalną dla uczestników wystawy. Frekwencja w jadalni nadzwyczajna, niektórzy zamożniejsi dopijają flaszkę piwa, a propos bardzo niesmacznego. Mocnym popytem cieszy się lemoniada i kwas.

Przez działy wystawy z dziedziny rolnictwa prowadzą nas umyślni przewodnicy, każdy z nich ukończył specjalny dział w dziedzinie rolnictwa, nauka bowiem w wyższych zakładach naukowych została zreorganizowana i odbywa się w ramach wąskiej specjalności a więc agronomowie w dziedzinie uprawy roli, w dziedzinie hodowli bydła rogatego, nierogacizny itp.

Czy mowa o torfowiskach, o glebie Białorusi, o poszczególnych roślinach specyficznych w tym kraju, kierownik stara się wyjaśnić, że wyzyskanie torfowisk, użyczenie gleby, polepszenie gatunku roślin, zwiększenie urodzajności, wszystko to może odbyć się pod warunkiem zespolenia sił chłopskich w jedno, stworzenia łącznych gospodarstw wiejskich, a więc: uzasadnienie Kołchozu i Sowchozu. Wszystkie tablice, wiszące w poszczególnych działach rolnictwa, zmierzają do jednego: wykazania, jak rośnie względnie produkcja w Kołchozach i Sowchozach, jak wstrzymuje się rozwój produkcji w gospodarce indywidualnej.

Oglądamy tablice rozwoju kooperatyw, specjalna statystyka istnieje dla zilustrowania charakteru klasowego kooperatywy, a więc udziału kułaków, sieredniaków i biedniaków.

Wreszcie „korona” wystawy rolniczej. Na rozkaz kierownika mechanik naciska guzik. Na suficie jednego z oddziałów zapalają się światła elektryczne — kilkadziesiąt lampek. Tak wyglądała gospodarka sowchozu 3 lata temu, tak nieznaczna była ilość punktów, gdzie były kołchozy. Mechanik naciska guzik po raz drugi. Liczba światel się zwiększa. Po raz trzeci — i na firmamencie jaśnieje ogromna ilość lampek elektrycznych. Nie pamiętam dokładnie, czy mechanik naciskał dalej guziki, czy pokazywał jeszcze obraz przyszły, obraz wymarzony, narzucony psychologicznie całemu społeczeństwu, jak to będzie wyglądać wieś u końca piatilietki, jak maszyna stanie się panem wszechwładnym wsi, lampa elektryczna gościem każdej chaty...

Przechodzimy do działu bydła. Specjalny przewodnik tłumaczy konieczność sztucznego zapładniania koni. W centrum pawilonu końskiego zajmuje najpoczytniejsze miejsce koń chłopski (choziajskaja łoszadka), dalej następuje pokaz koni wierzchowców. Jest to może jedyne miejsce, gdzie szanują arystokrację rodową. Koło każdego konia napis, kto go rodził, dzieje matki „szlachcianki”, a czasem i dzieje dziadka, wielkiego szlachcica, który zdobywał nagrody na wyścigach.

Najważniejszym jest jednak dział nierogacizny.

Ze specjalnem nabożeństwem doprowadzają nas do pawilonu świńskiego, zresztą jest kilka pawilonów świńskich, na świni bowiem opiera się dalszy rozwój „piatilietki”. Kulacy w okresie gwałtownej kolektywizacji wyrzynali masowo bydło, kraj cierpi z powodu braku tłuszczu i mięsia. Zjazd 16-ty partii komunistycznej toczył się pod hasłem zwiększenia wydajności świń. W sowchozach specjalnie przeznaczonych dla rozwoju i hodowli świń prowadzona jest intensywna robota rozmnażania świń. Maciorom odbiera się po krótkim czasie prosięta, by zwiększyć ich pożyteczność i pomnożyć obrot rodzenia, odbywa się istna „demoralizacja” seksualna świni.

Hodowla świń jest jednym z naczelných haseł w wykonaniu piatilietki. Hodowla odbywa się w specjalnych gospodarstwach państwowych (sowchozach), w kołchozach, małych gospodarstwach wewnętrznych koło fabryk. Odbywa się również w kolonjach żydowskich. We wsiach żydowskich obok różnych budowli powstaje jeszcze jeden gmazek, chlew świński (swinarnik) tak bardzo czczony przez instruktorów Narkomizemu, przez kierowników Komzetu, a nawet przez agronomów Agro-Jointu.

Ostatni instruktor na wystawie dodaje:

— Naszą tragedją było, żeśmy nie czyścili należycie chlewów świńskich, żeśmy przyzwyczajali świnię do brudu, że tonęła w błocie.

Oprowadził mnie wzdłuż wzorowo urządzonego chlewu i dodał:

— Higijena świń jest ważną rzeczą, musimy walczyć o czystą świnię.

Bernard Zyngier.

## Biblijografja.

*Ateneum Wileńskie.* Czasopismo naukowe, poświęcone badaniom przeszłości ziem Wielkiego X. Litewskiego. Rocznik VII. Zesz. 1 — 2. Wyd. Wydziału III T-wa przyjaciół Nauk w Wilnie. Wilno. 1930.

Gruby tom o 415 stronicach zawiera, jak zwykle, bogaty materiał do dziejów W. Ks. Litewskiego. Szereg rozpraw otwiera praca prof. Wł. Semkowicza o Hanulu, namiestniku wileńskim, który był zaufanym sekretarzem Jagielly i spełniał rozmaite jego polecenia o charakterze dyplomatycznym. Skąpe są źródła, dotyczące tej ciekawej i niepospolitej postaci, która odegrała, doniosłą rolę w historii Wilna i panowania Jagielly. Temu to Hanulowi, z pochodzenia Niemcowi ryskiemu, osiadłemu następnie w Wilnie zawdzięcza Jagiello odzyskanie stolicy wielkoksiążęcej w r. 1382, której został pozbawiony przez stryjca Kiejstuta. Prof. Semkowicz przypuszcza, że figurujący wielokrotnie w dokumentach krzyżackich *Hennike* (albo *Hannike*) *von Riga, burger zcur Wilna* jest identyczny z Hansem von Riga, wspomnianym w Kronice krzyżackiej, a którego latopisiec ruski, zanim zaś Długosz nazywa Hanulem.

Osoba Hanula, zdaniem autora, nie pozostała na uboczu w rozwoju wypadków, które doprowadziły do pojednania Witolda z Jagiellą, a w dalszej konsekwencji do unji z Polską i utworzenia wspólnego frontu przeciwko Zakonowi Krzyżackiemu, do którego Hanul jako Ryżanin z pochodzenia żywił uzasadnioną niechęć.

Jest tedy rzeczą zrozumiałą, że w poselstwie, które Jagiello wyprawił w styczniu r. 1385 do Kra-



kowa a następnie na Węgry w dziewosłębny o rękę Jadwigi wziął tak wybitny udział Hanul, na stanowisku wówczas namiestnika wileńskiego. Tu wszakże urywa się dalszy ślad działalności politycznej Hanula. Powierzoną sobie misję spełnił pomyślnie, ale potem już znika ze sceny wielkiej polityki. Nie zdobywa później na Litwie żadnych godności i urzędów, a nawet ustępuje ze stanowiska namiestnika wileńskiego, na którym spotykamy już w r. 1387 Andrzeja Gasztołda.

Dalsze losy Hanula i jego rodziny, nad którymi szczegółowo się zastanawia prof. Semkowicz są mało interesujące, gdyż, jak wynika z dokumentów, przytoczonych przez autora, Hanul pojawia się za małżonkę damę dworską z otoczenia królowej Jadwigi przeniósł się do Kazimierza nad Wisłę, a potomstwo jego, związane ściśle z Krakowskim nie miało już nic wspólnego z Wilnem.

Ciekawy jest m. inn. szczegół, że za pierwszego promotora i opiekuna zakonu franciszkanów w Wilnie należy uważać Hanulę właśnie, który darował kaplicy św. Mikołaja przy kościele franciszkańskim P. M. na Piaskach dziedzinę swoją Nakyenny, tudzież wszystkie place naokół tejże kaplicy w Wilnie. Owe dobra Nakyenny, jak słusznie wnioskuje autor, musiały leżeć na rzece Kienie (koło Rukojń) i być może dzisiejsza Kiena Sławińska lub Panieńska niegdyś stanowiła dwór Hanula, zwany w rejsach krzyżackich Hanulindorfem.

Druga z kolei rozprawa prof. F. Konecznego p. t. „Sprawa księcia Geldrji 1389” luźnie jest tylko związana z dziejami Litwy i jest raczej przyczynkiem do historii Pomorza.

Praca Wandy Białowiejskiej „Stosunki Litwy z Moskwą w pierwszej połowie panowania Aleksandra Jagiellończyka (1492 — 1499)”, zakrojona na wielką skalę (w omawianym tomie ukazała się dopiero pierwsza jej część) oświetla ważny okres w historii Litwy, w którym rywalizacja Moskwy o panowanie nad Rusią dawała się już jej dotkliwie odczuć i w którym zarysowała się już wyraźnie przewaga rosnącej na wschodzie potęgi.

Studjum zmarłego w tym roku historyka Fr. Rawity-Gawrońskiego o „Książętach Nieświeskich, Zbaraskich i Wiszniowieckich do końca XVI w.” dotyczy właściwie dziejów Rusi — Ukrainy i tylko formalnie może być związane z przeszłością W. K. Litewskiego. Zresztą po gruntownych wywodach J. Jakubowskiego o rodowodzie książąt Nieświeskich, drukowanych w I tomie „Ateneum Wil.” dociekania autora na ten temat są spóźnione, a w dodatku nietrafne.

Rozprawa Seweryna Wystoucha p. t. „Z dziejów Łosośny i jej posiadaczy XV—XVI w.” daje ciekawy obraz tworzenia się, powstawania i upadku fortun możnowładczych w W. Ks. Litewskim do końca w. XVI. Wśród licznych posiadaczy tych dóbr hospodarskich: Gojcewicza, książąt Twerskiego, Glińskiego i Czartoryskiego, wreszcie Wasyla Tyszkiewicza ten ostatni zasługuje na wyróżnienie ze względu na swe niepospolite zdolności, dzięki którym z chudopacholka wyrósł na magnata i stał się protoplastą możliwego w przyszłości rodu. Tyszkiewiczowi też autor poświęca sporo miejsca, omawiając również obszerne jego działalność na sianowisku starosty czerkaskiego i kaniowskiego. Dobra Łosośna w końcu, u schyłku XVI w. przeszły na własność do kanclerza Lwa Sapiehy i na trwałe już pozostały we władaniu jego potomków.

„Zarys dziejów Seminarjum Papieskiego w Wilnie 1585 — 1773” ks. Jana Poplatka T. J. stanowi dalszy ciąg pracy o seminarjum wileńskim drukowanej w „Ateneum Wil.” w r. 1929. Autor podkreśla z naciskiem, że „ani w bulli erekcyjnej Grzegorza XIII, ani w bullach późniejszych papieży i tak licznych deklaracjach i zarządzeniach Propagandy oraz nuncjuszów apostolskich aż do 1753 r. niema nigdzie mowy o wychowywaniu w seminarjum unitów. Powierzenie steru zakładu łacińskiemu zakonowi jezuitów, ściśle zespalanie go z łacińską akademią, cały wybitnie rzymski kierunek wychowawczy i naukowy, zatwierdzony i kontrolowany przez Rzym, wskazują na to, że do 1753 r. seminarjum na nazwę ściśle unickiego nie zasługuje... Dopiero od reformy Benedykta XIV charakter instytucji się zmienia, jej obowiązkiem staje się kształcenie Rusinów, greko-katolików, a nie jak dotąd Rusinów i Moskali w terytorjalnym, względnie narodowościowym tylko znaczeniu tego słowa”.

W rozprawie „Co nam mówią stare wileńskie kamienice?” Kazimierz Römer kreśli dzieje dwóch starych kamienic: „Hoczanowskiej” czyli „Mawowskiej” oraz „Szumlańskiej”, położonych przy ul. Wielkiej i stanowiących obecnie własność p. Marji Römerówny. Dokumenty, zawierające dane o przejściu kamienic z rąk do rąk nie są na ogół ciekawe, tembardziej, że akurat brak tych, któreby mogły rzucić światło na pochodzenie wymienionych nazw „Hoczanowska” i „Mawowska”. Gdyby autor podał będące w jego posiadaniu dokumenty archiwalne in extenso jako surowy materiał, większą przysługę, wydał mi się, wyświadczył nauce, niż streszczając je i zaopatrując we własne komentarze.

Ostatnia rozprawa M. Tyrowicza o działalności publicznej J. U. Niemcewicza w latach 1807 — 1813 niewiedzieć z jakich powodów znalazła się na łamach czasopisma „poświęconego badaniom przeszłości ziem W. K. Litewskiego”, działalność bowiem Niemcewicza rozwijała się na terenie Księstwa Warszawskiego i w najmniejszej nawet mierze nie dotyczyła Litwy. Redakcji więc „Ateneum Wil.” wypada uczynić zarzut przypadkowego doboru materiału.

Nie tylko ten jeden zarzut zresztą nasuwa się pod adresem redakcji, pozostającej w ręku prof. T. Modelskiego. W czasopiśmie naukowym nie powinno być miejsca dla uwag o charakterze publicystyczno-feljetonowym. Tymczasem obfituje w nie rozprawa ś. p. K. Römera, a jeszcze bardziej wstęp p. Leona Kryczyńskiego do „Regestru dokumentów na dobra tatarskie Łostaje”. Takie zwroty, jak „Bez żydów się obeszło. Szczęśliwie czasyl” („Co nam mówią kamienice?” str. 250) albo „Dola i niedola polska, to jedna i ta sama dola i niedola Tatarów litewskich, boć ideały polskie były i są ich ideałami. Dziś Tatarzy polscy mówią z dumą o tem, że państwo polskie może w każdej chwili liczyć na nich” („Regestr dokumentów” str. 313) są niedopuszczalne na łamach wydawnictw historycznych, gdzie musi panować niepodzielnie prawda obiektywna.

Powinna też redakcja zwrócić bacniejszą uwagę na korektę. Nie mam tu na myśli zwykłych błędów drukarskich tego rodzaju, jak „walka z Zakopanem” zamiast „z Zakonem” (str. 9), ale rażące rozbieżności w pisowni poszczególnych współpracowników. W dwóch obok siebie zamieszczonych recenzjach z wydawnictwa mińskiego „Bielaruski Archiw” — w jednej p. Borzemski pisze wszędzie



„akty, aktów”, w drugiej zaś — p. Mienickiego czytamy „akta, akt”. Brak więc w czasopiśmie tej jednolitości, do której p. Mienicki właśnie przywiązuje taką wagę, wytykając niedomagania w tej dziedzinie wydawcom mińskim.

Nie wiem, czy można winić o to redaktora, niewątpliwie jednakże redakcja postąpiła nieopatrzenie, zamieszczając in extenso mowę prof. Parczewskiego, wygłoszoną przezeń podczas obchodu 60-letniego jubileuszu jego pracy naukowej.

Ustęp tej mowy, zawierający pogląd jubilata na ruch narodowy litewski jest tak kompromitujący dla uczonego, że jeżeli sam prof. Parczewski ze względu na swój wiek podeszły nie dostrzegł jego skandalicznej wprost płytkości i ignorancji, to obowiązkiem redakcji było zwrócić na to uwagę i zapobiec uwiecznianiu drukiem podobnych naiwnych, a jednocześnie tendencyjnych dziwolągów.

Dość powiedzieć, że zdaniem prof. Parczewskiego znany działacz litewski z okresu „Auszry” Szlupas był „agentem rosyjskim!” Ze tak mógł sądzić prof. Parczewski w roku 1874, to jest zupełnie naturalne, gdyż słynny memoriał ugodowy Szlupasa, złożony gen. gubernatorowi Hurce stawał jego autora w świetle mocno dwuznacznym, ale utrzymywać to samo po upływie prawie pół wieku, po ukazaniu się chociażby gruntownej i bezstronnej monografii M. Römera jest dowodem zupełnego braku znajomości dziejów odrodzenia narodu litewskiego. Obowiązkiem redaktora było tak lub owak wpłynąć, by tego rodzaju wyznanie wiary nie ukazało się w druku, zwłaszcza w Wilnie w wydawnictwie historycznym!

**Zajązkowski Stanisław.** *Dzieje Litwy pogańskiej do 1376 r.* Lwów. Wyd. Zakładu Nar. im. Ossolińskich. 1930.

Pierwszą naukową syntezą dziejów pogańskiej Litwy — jak zaznacza autor w przedmowie — była praca w języku rosyjskim W. B. Antonowicza; wydana jednak w 1885 r. jest już dzisiaj przestarzałą. Ogłoszony później w czasopiśmie „Litwa i Ruś” w 1912 roku zarys najdawniejszych dziejów litewskich „Od Mendoga do Jagielly” — pióra zmarłego świeżo A. Prochaski, posiada charakter popularno-naukowy.

Niema więc obecnie w naukowej literaturze opracowania dziejów Litwy przed 1386 r., stojącego na wysokości rezultatów dotychczasowych badań. W następstwie tego literatura popularna traktuje całą t: epokę historii litewskiej bardzo pobieżnie i do rywco, nieraz bałamutnie, przeważnie jako wstęp do dziejów Polski i Litwy za Jagiellonów. Nie zapełnia tej luki dobra zresztą, ale drobna rozmiarami praca J. Jakubowskiego p. t. „Dzieje Litwy w zarysie”, która obejmuje całokształt dziejów litewskich do najnowszych czasów i z tego powodu nie może uwzględniać szerzej historii pogańskiej Litwy.

Autor sądzi więc, że w tym stanie rzeczy nie będzie zbyt cenną napisana przezeń książeczka, której zadaniem jest dać popularne przedstawienie dziejów litewskich do 1386 r., oparte na rezultatach dotychczasowych badań naukowych.

Ogłaszając drukiem swą pracę autor zdaje sobie dokładnie sprawę z jej braków. Wiele w niej jest — jak sam autor się przyznaje — niedomówień i niejasności, wiele też nierównomierności w traktowaniu poszczególnych stron rozwoju dziejowego Litwy. Przyczyną tego jest obecny stan odnośnej

literatury naukowej, na której oparł się omawiany zarys; opracowała ona bowiem wiele tylko epizodów i szczegółów, które w swej pracy autor musiał łączyć w jedną całość, nieraz z wielkim trudem.

Autor jest jednak przekonany, że i w tej szałce książeczka będzie pożyteczną, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy 500-a rocznica śmierci Witolda zwraca uwagę na dawne dzieje pogańskiej Litwy i jej wielkich władców, których godnym następcą i spadkobiercą był Witold.

Powyższe wyznanie rozbraja krytyka, który może miałby do zarzucenia autorowi nadto już pobieżne ujęcie tematu, zbytne uwzględnienie podań i legend i niezmiernie symplicystyczny pogląd na znaczenie i powody unji krewskiej. Dla szerszego ogółu polskiego książeczka p. St. Zajązkowskiego nie będzie bez pożytku. Wydawnictwo ozdobione jest kilkoma rycinami.

**Socjalizm. Zarys bibliograficzny i metodologiczny.** Praca zbiorowa. Nakładem Tow. Uniwersytetu Robotniczego (TUR) w Krakowie. 1931.

Ze względu na specjalny charakter naszego pisma i szczupłe jego rozmiary, spośród nadsyłanych nam łaskawie do oceny wydawnictw uwzględniamy z reguły wyłącznie tylko te, które w ten lub inny sposób dotyczą naszego kraju, jego przeszłości lub stanu obecnego. Wyjątek czynimy dla cytowanego wydawnictwa a to dlatego, że nasuwa ono nam parę uwag w sprawach bliżej nas obchodzących.

Praca, wydana nakładem „Turu” krakowskiego ma być przewodnikiem dla wszystkich interesujących się socjalizmem oraz ruchem robotniczym. Podaje ona obszerną, rozumowaną bibliografię, dotyczącą wszystkich kwestyj, związanych z socjalizmem i z ruchem robotniczym w językach polskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim, a nawet angielskim. Między innymi zawiera również dział p. t. „Zagadnienia narodowościowe” opracowany przez p. Leona Wasilewskiego.

Na zagadnienie narodowościowe można się zapatrywać, rzecz prosta, z rozmaitych punktów widzenia: z historycznego, prawnopństwowego, nacjonalistycznego, klasowego i t. p. Nie byłoby nic dziwnego w tem, gdyby w bibliografii socjalistycznej zostały uwzględnione jedynie prace, omawiające kwestję narodowościową pod kątem widzenia teorii walki klas. Tymczasem p. Wasilewski podaje obszerną bibliografię z tego zakresu, ułożoną zupełnie dowolnie, z jednej strony o wiele obszerniejszą, niż odnośna literatura socjalistyczna, a z drugiej zbyt szczupłą i jednostronną w stosunku do całokształtu dorobku naukowego i publicystycznego w powyższej dziedzinie.

W pododdziale „Sprawy narodowościowe w Polsce” przytoczone są tytuły prac wyłącznie autorów polskich. Wymienione jest między inn. czasopismo „Sprawy Narodowościowe”, a pominięte „Natio”, które stanowi niezbędne uzupełnienie pierwszego, dając pojęcie o zapatrywaniach strony przeciwnej. Razi również w wydawnictwie naukowym i do tego o zabarwieniu socjalistycznym tytuł drugiego pododdziału: „Kresy Wschodnie”, która to rubryka obejmuje i ruch narodowy litewski, i białoruski i ukraiński. Zarówno pod względem bibliograficznym, a jeszcze bardziej metodologicznym dział ten pozostawia wiele do życzenia i z zagadnieniem socjalizmu czy ruchu robotniczego niewiele ma wspólnego. a.



LIETUVOS MOKSLŲ AKADEMIJOS BIBLIOTEKA  
  
002 00185471 2

Lietuvos Mokslų Akademijos  
BIBLIOTEKA  
P 071570/1926  
F1930

  
Biblioteka  
im. Wróblewskich  
w Wilnie  
071570